

Powstanie Warszawskie

● Niemiecki czołg „Pantera” zdobyty przez oddział zgrupowania „Radosław” w okolicach ul. Okopowej na Woli.



■ **Każdego mieszkańca należy zabić**
str. II

■ **Arthur Greiser i władze Kraju Warty wobec Powstania Warszawskiego**
str. IV

■ **Wojenna odyseja Zbigniewa Piaseckiego**
str. VI

■ **Trzeba zamknąć swoje oczy i serce**
str. VIII

■ **Katoliccy księża i siostry zakonne w Powstaniu Warszawskim**
str. X

Niemieckie zbrodnie na cywilach w Powstaniu Warszawskim

Każdego mieszkańca należy zabić

Szymon NOWAK, Muzeum Dzieci Polskich – ofiar totalitaryzmu w Łodzi

Widziałam, jak małe dziecko podpełzło do pierwszego z żołnierzy rzucających granaty i zaczęło go całować po butach, a także jak żołnierz odrzucił to dziecko. Dzieci strasznie krzyczały.

Maria Suryn

Warszawa

Po wybuchu II wojny światowej we wrześniu 1939 r., zajęciu Polski i Warszawy, Niemcy praktycznie od początku prowadzili względem Polaków terror i eksterminację. Już w grudniu 1939 r. w podwarszawskich Palmirach rozpoczęły się masowe egzekucje elity polskiego narodu. Według postanowień Hitlera i Hansa Franka (Generalnego Gubernatora okupowanych ziem polskich), zawartych w tzw. Planie Pabsta (planie urbanistycznej przebudowy Warszawy) – Warszawa miała zostać częściowo zburzona, przebudowana i zdegradowana do roli podrzędnego prowincjonalnego miasteczka. „Nowe niemieckie miasto Warschau” miało zajmować obszar około 15 km kw. oraz liczyć nie więcej niż 130 tys. mieszkańców. Z tej liczby ⅓ stanowić miała niemiecka elita polityczna i wojskowa zarządzająca podbitymi terytoriami na wschodzie. Reszta mieszkańców, polskich „podludzi”, miała mieszkać głównie na prawobrzeżnej Pradze i stanowić rodzaj niewolniczej siły roboczej.

W 1943 r. Hans Frank zanotował w swym dzienniku: „Gdybyśmy nie mieli Warszawy w Generalnym Gubernatorstwie, to nie mielibyśmy ⅔ trudności, z którymi musimy walczyć. Warszawa jest i pozostanie ogniskiem zamętu, punktem, z którego rozprzestrzenia się niepokój w tym kraju”. Sam Adolf Hitler na początku 1944 r. miał wspomnieć: „Warszawa musi zostać zburzona, gdy tylko nadarzy się ku temu sposobność”.

Początek Powstania

Kiedy w lipcu 1944 r. front wschodni zbliżał się do Warszawy, Niemcy za wszelką cenę postanowili bronić miasta przekształconego rozkazem Hitlera w twierdzę. Wojskowym komendantem Warszawy został mianowany gen. Stahel, wcześniejszy dowódca obrony Wilna. To on zaraz po wybuchu walk wydał rozkaz nakazujący rozstrzeliwanie wszystkich wziętych do niewoli mężczyzn oraz brania zakładników spośród kobiet i dzieci. Od tego momentu Niemcy zaczęli wykorzystywać polskich cywilów jako żywe tarcze do osłony własnych ataków broni pancerniej. Np. 2 sierpnia niemieccy żołnierze z Dywizji Spadochronowo-Pancernej „Hermann Göring” nacierając wzdłuż ul. Okopowej przed czołgami pędzili grupę Polaków przywiązanych do drabin. Tego samego dnia na ul. Chłodnej przed czołgami prowadzono gromadę polskich kobiet. Również nacierający wzdłuż mostu Poniatowskiego i Alei Jerolimskich 4 Wschodniopruski Pułk Grenadierów używał masowo do osłony własnych działań wziętych do niewoli cywilów.

Na wieść o wybuchu polskiego Powstania w Warszawie, przebywający w „Wilczym Szańcu” Hitler dostał napadu wściekłości. Początkowo planował masowymi bombardowaniami lotniczymi zburzyć całe miasto i zniszczyć wszystkich jego mieszkańców. Odstąpił od tego pomysłu, kiedy okazało się, że w wielu rejonach Warszawy przebywają odcięci Niemcy. Himmler uspakajał Führera i mówił: „Z punktu widzenia historycznego jest błogosławieństwem, że Polacy to robią. Po pięciu, sześciu tygodniach wybrniemy z tego. A po tym Warszawa, stolica, głowa, inteligencja tego byłego 16–17-milionowego narodu Polaków, przestanie istnieć”. 2 sierpnia Hitler wydał rozkaz Himmlerowi, iż „każdego mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców. Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być stworzony zastraszający przykład dla całej Europy”. Taki sam rozkaz otrzymał gen. SS Erich von dem Bach, który 4 sierpnia został mianowany dowódcą wszystkich sił walczących z powstaniem.

Już od pierwszych momentów walk niemiecki okupant rozpoczął masowe egzekucje ludności cywilnej i wziętych do niewoli powstańców. Złapane kobiety były dodatkowo gwałcone. Szacuje się, że w pierwszych czterech dniach Powstania zginęło co najmniej kilka tysięcy cywilów. Według historyka Adama Borkiewicza pierwszego dnia i w nocy z 1 na 2 sierpnia zginęło wraz z rozstrzelanymi 2 tys. Polaków.

Rzeź Woli

Niemcy w trybie pilnym zorganizowali posiłki dla Warszawy i już 4 sierpnia ich pierwsze oddziały weszły do akcji. Była to grupa niemieckiej policji (kilkanaście kompanii) z Poznania pod dowództwem gen. Reinefartha, 608 Pułk Ochronny płk. Schmidta i Pułk SS „Dirlewanger”. Siły te wkroczyły do miasta od zachodu i posuwały się wzdłuż ulicy Górczewskiej i Wolskiej. Oprócz walk z nielicznymi tutaj oddziałami powstańcami, niemieccy żołnierze i kolaborujący z nimi żołnierze innych narodowości (np. Rosjanie, Ukraińcy, Azerowie) skrupulatnie wypełniali rozkaz swoich przełożonych. Od 5 sierpnia na niespotykaną skalę rozpoczęły się masowe i zorganizowane mordy na ludności cywilnej. Zbrodniarze wypędzali Polaków z mieszkań i rozstrzeliwali, tworząc wysokie hałdy zwłok. Kopce te polewano następnie benzyną i podpalano. Działo się tak w wielu miejscach Woli.

Willi Fieldler ze 102 batalionu transportowego „Turkiestan” relacjonował o masowych egzekucjach na terenie Miejskich Zakładów Opałowych przy ul. Okopowej: „Wtedy widziałem, jak wpędzano siłą polskich cywilów (...) partiami po 10 osób, kładziono ich na stosach twarzą w dół, niektórych nawet wleczono za włosy i następnie SS-man rozstrzeliwał ich strzałami w kark. Zabitych nie odciągano i następna partia ofiar musiała wchodzić na zwłoki lub była na nie wciągana,

► Ludność cywilna Warszawy pędzona ulicą w pierwszych dniach sierpnia 1944 r., podczas Rzezi Woli

a następnie również rozstrzeliwana. I tak działo się dalej, dopóki cały stos nie został wypełniony i wszyscy przyprowadzeni Polacy nie zostali rozstrzelani. Widziałem około 9–10 warstw trupów ułożonych na stosie. Kobiety z dziećmi przy piersi były rozstrzeliwane razem z innymi. (...) Według mego zdania, tych pięciu SS-manów mordowało przeciętnie w ciągu dnia około 200 Polaków, tak, że w czasie mojej pracy w garbarni zostało zamordowanych w tym miejscu około pięciu tysięcy Polaków”.

W innym miejscu, na terenie fabryki Ursus przy ul. Wolskiej zamordowano około 6 tysięcy ludzi. Nie oszczędzano księży katolickich, zakonnic, lekarzy i pielęgniarek. Przy zajmowaniu szpitala św. Łazarza z rąk niemieckich oprawców zginęło ok. 1200 chorych i rannych oraz 30 pielęgniarek i sanitariuszek, w tym dziesięć nastoletnich harcererek. Wanda Łokietek-Borzęcka

„Rzeka” wspominała: „I od tej chwili zaczęła się gehenna. Było nas 15 wraz ze starszą sanitariuszką (imienia nie pamiętam). Wiek dziewcząt 15–18 lat. Muszę przyznać, że dziewczęta przyjęły postawę bardzo dzielną, taką, jaką powinna przyjmować harcerka. Niemcy w bestialski sposób zaczęli rozstrzeliwać najpierw lekarzy na naszych oczach, strzelając najczęściej w tył głowy. I tak po kolei doszli do nas. Kazali wystąpić kilka kroków naprzód, a sami strzelali do nas grupami. Wystąpiłam razem ze wszystkimi śpiewając »Jeszcze Polska...«. Na odgłos strzałów upadłam, a obok mnie z roztrzaskanymi głowami dziewczęta. Przysłowie mówi o szczęściu w nieszczęściu – ja to szczęście miałam. Leżąc w pozycji z podkurczonymi nogami, przeżyłam wszystko, słyszałam całą tragedię do końca (...). Na samym końcu z ostatniego pawilonu wyprowadzili siostry zakonne, było ich

dziesięć. Wyszły odmawiając »Pod Twoją obronę...«. Niemcy strzelali do nich pojedynczo – do ostatka słyhać było modlitwę. Następnie Niemcy podpalili szpital od piwnic, dobijając chorych na łózkach (...). Po jakimś czasie zaczęłam myśleć o ucieczce. Wolniutko ruszyłam się i z przerażeniem ujrzałam jednego zbója rabującego ciała zabitych. Leżąc w pozycji tak innej niż wszyscy, musiałam zwrócić jego uwagę, bo doszedł do mnie i zaczął mnie kopać, następnie wziął za rękę, zerwał bransoletkę i pierścionek, usiadł opierając się o moje nogi. Przeszukiwał nasze teczki i torebki. Po chwili wstał, widocznie wyczuł, że żyję, stanął nade mną repetując karabin, następnie strzelił dwa razy do mnie, tak, że czułam, że kule musnęły moje włosy, a ziemia zasypała mi oczy. Ja jednak żyłam. Szkop pewny, że nie został świadkiem zbrodni, odszedł. Jak długo leżałam struchlała, nie wiem.





Fot. Bundesarchiv/domena publiczna

◀ Niemiecki żołnierz z pomocą miotacza płomieni podpala zabudowania Warszawy

obszar z dział wielkiego kalibru. Po wycofaniu się obrońców Starówki kanałami i upadku tej dzielnicy 2 września, Niemcy wymordowali w staromiejskich szpitalach kilka tysięcy rannych. Na przykład w szpitalu przy ul. Długiej 7 Niemcy i Ukraińcy wystrzelali, a potem podpalili miotaczami płomieni kilkuset rannych. Tak zajęcie tego szpitala wspominała sanitariuszka „Klima” (NN): „W tej cisy szczególnie głośno rozległ się na schodach tupot podkutych żołnierskich butów. Niemcy biegli już na górę. Do naszej sali wpadło kilku żołnierzy, dwu esesmanów, Ukraińcy i włosowiec. Kilkakrotnie krzyknęli po polsku: „Wstać”. Nie było nikogo na sali, kto mógłby ten rozkaz wykonać. Tylko tu i tam ledwie uniosła się czyjaś głowa i zaraz opadła bezwładnie. Jeden z esesmanów z pistoletem w rękę ruszył między leżących na podłodze rannych. Przyglądał się każdemu. Zatrzymał się obok jednego, znajdującego się już w agonii wobec wielkiego upływu krwi. Kopnął go, pochylił się i dwukrotnie strzelił z pistoletu w otwarte usta konającego. Podszedł do następnego i również kopnął go. Ranny zajączał. Esesman strzelił do niego, prosto w twarz”. W czasie całego Powstania na Starówce zginęło około 30 tys. cywilnych mieszkańców miasta, w tym również uciekinierów z Woli.

Dalsze walki

Przy walkach i zajmowaniu kolejnych dzielnic Niemcy ograniczali masowe mordy na ludności cywilnej. W kilku przypadkach (Mokotów, Czerniaków) przed decydującymi szturmami zawieszano nawet lokalne zawieszenia broni, aby dać możliwość ewakuacji cywilów. W praktyce oznaczało to przejście na niemiecką stronę i zdanie się na łaskę okupanta, co niestety nie zawsze było gwarancją ocalenia. Warto podkreślić, że koniec walki w mieście nie oznaczał wcale wolności dla warszawskich cywilów. Przez obóz przejściowy w Pruszkowie przepędzono około 550 tys. mieszkańców Warszawy, z czego około 60 tys. wysłano do obozów koncentracyjnych, a 90 tys. na roboty przymusowe do Rzeszy.

W dalszym ciągu zaś zajmowanie polskich szpitali kończyło się często zagładą placówki i mordami

na rannych. Działo się tak np. na Czerniakowie, gdzie w szpitalu na ul. Zagórnej Niemcy wymordowali rannych. Natomiast w szpitalu polowym przy ul. Solec nieprzyjaciel podpałił budynek i uniemożliwił ewakuację jego rannych. Niemcy zazwyczaj nie wnikal w to, czy ranni to cywile czy powstańcy. Na Czerniakowie podczas wszystkich powstańczych dni walk zginęło około 1000–1200 cywilów.

Podsumowanie

Bardzo trudno oszacować ogólne straty polskiej ludności cywilnej podczas Powstania Warszawskiego. Podawane przez badaczy liczby wahają się z reguły od 120 tys. do 180 tys. ofiar. Na przykład Adam Borkiewicz, Władysław Bartoszewski i Joanna Hanson opowiadają się za liczbą 150 tys. cywilnych ofiar niemieckiego barbarzyństwa. I ten szacunek pojawia się współcześnie najczęściej w opracowaniach dotyczących Powstania Warszawskiego. Po stłumieniu Powstania i wypędzeniu mieszkańców Niemcy przystąpili do systematycznego burzenia Warszawy. W wydanych wówczas dyspozycjach Himmlera, miasto miało zniknąć z powierzchni ziemi. „Kamień na kamieniu nie powinien pozostać” – brzmiał rozkaz szefa SS. – „Wszystkie budynki należy zburzyć do fundamentów”. W zamierzeniach Niemców, z polskiej stolicy miał zostać jedynie punkt na mapie z funkcjonalnym węzłem kolejowym do przeładowywania transportów wojskowych idących na front. Burzenie i wypalanie budynków trwało aż do wkroczenia Rosjan w styczniu 1945 roku.

Według oceny historyka Tadeusza Sawickiego, który oparł się na ustaleniach Czesława Pilichowskiego, straty materialne polskiej stolicy podczas II wojny światowej wyglądały następująco: wrzesień 1939 – około 15 proc., likwidacja getta – około 12 proc., walki podczas Powstania – 25 proc., burzenie miasta po Powstaniu – 30 proc. Razem 82 proc.

Marek Getter wyliczył ludzkie straty Warszawy podczas całej wojny i okupacji: wrzesień 1939 r. – 20 tys., egzekucje i mordy – 82 tys., zagłada Żydów latem 1942 r. – 310 tys., zagłada Żydów wiosną 1943 r. – 60 tys., powstańcze wojsko – 10 tys. (tu skłaniałbym się bardziej do liczby 15–18 tys.), powstańcza ludność cywilna – 150 tys., zgony w obozach koncentracyjnych – 45 tys., zgony na robotach przymusowych w Rzeszy – 52 tys., razem 729 tysięcy.

Dym z palącego się szpitala dusił i szczypał w oczy. Postanowiłam po raz drugi uciekać...”

Podobne przypadki mordów miały miejsce podczas zajmowania Szpitala Wolskiego i Szpitala Św. Stanisława. Nieliczni cudem ocaleni mogli tylko poświadczyć później o barbarzyństwie Niemców i ich sprzymierzeńców. Nawet dzieci nie mogły liczyć na litość oprawców. Wanda Lurie z domu Podwysocka (ur. 1911 r.), będąca w ostatnim miesiącu ciąży była świadkiem niemieckich zbrodni w fabryce Ursus przy ul. Wolskiej 55 w Warszawie. Ona sama cudem przeżyła, ale zginęły jej dzieci: 11-letni i 3,5-letni synowie oraz 6-letnia córka: „Błagałam otaczających nas Ukraińców, by ratowali dzieci i mnie. Któryś z nich zapytał, czy mogę się wykupić. Dałam mu trzy złote pierścienie. Zabrawszy to, chciał mnie wyprowadzić, jednak kierując egzekucją Niemiec, oficer żandarm, który to zauważył, nie pozwolił i kazał mnie dołączyć do grupy przeznaczonych na rozstrzelanie. Zaczęłam go błagać o życie dzieci i moje, mówiłam coś o honorze oficera. Odepchnął mnie jednak tak, że się przewróciłam. Uderzył też i pchnął mojego starszego synka wołając: prędzej, prędzej ty polski bandyto. W międzyczasie wprowadzono nową partię Polaków. Podeszłam więc w ostatniej czwórce razem z trojgiem dzieci do miejsca egzekucji i trzymając prawą ręką dwie rączki młodszych dzieci, lewą rączkę starszego synka. Dzieci szły, płacząc i modląc się. Starszy, widząc zabitych, wołał, że i nas zabiją. W pewnym momencie Ukrainiec stojący za nami strzelił najstarszemu synkowi w tył głowy, następne strzały ugodziły młodsze dzieci i mnie. Przewróciłam się na prawy bok. Strzał oddany do mnie nie był śmiertelny. Kula trafiła w kark z lewej strony i przeszła przez dolną część czaszki, wychodząc przez prawy policzek. Dostałam krwotoku ciążowego. Wraz z kulą wypłynęła kilka zębów. Czulałam odrętwienie lewej części głowy i ciała. Byłam jednak przytomna i, leżąc wśród trupów, widziałam prawie wszystko, co działo się dookoła. Obserwowałam dalsze egzekucje. (...) Leżałam tak trzy dni, to jest do poniedziałku (egzekucja odbyła się w sobotę). Trzeciego dnia poczułam, że dziecko, którego oczekiwałam, żyje. To dodało mi energii i podsunęło myśl o ratunku. Zaczęłam myśleć i badać możliwości ocalenia”.

► Kobieta z dzieckiem w kościele św. Wojciecha na Woli, wykorzystywanym przez Niemców jako tymczasowy obóz przejściowy

Mathias Schenk z niemieckiego 46 baonu szturmowego pionierów, zapamiętał „zdobycie” ochronki dla dzieci prawosławnych przy ul. Wolskiej: „Wysadziliśmy drzwi, chyba do szkoły. Dzieci stały w holu i na schodach. Dużo dzieci. Rączki w górze. Patrzyliśmy na nie kilka chwil, zanim wpadł Dirlewanger. Kazał zabić. Rozstrzelali je, a potem po nich chodzili i rozbijali głowy kolbami. Krew ciekła po tych schodach. Tam w pobliżu jest teraz tablica, że zginęło 350 dzieci. Myślę, że było ich więcej, z 500.”

Najgorsza była w tym względzie bezsilność powstańczego wojska, które nie było w stanie ochronić tej ludności. Podpułk. Jan Mazurkiewicz „Radosław” pisał rozpaczliwie w meldunku do dowódcy Powstania: „Nieprzyjaciel paląc kolejne domy, wycina ludność na Woli. (...) Szykuje się olbrzymia tragedia tak jak historyczna rzeź Pragi. (...) Jeżeli możecie dziś pomóc, to szybko – godzin zostało niewiele. Kijem nikogo nie obronię.”

Podczas samych tylko dwóch dni, 5 i 6 sierpnia („czarna sobota” i „czarna niedziela”), Niemcy zamordowali większą część ofiar rzezi, jaką urządzili mieszkańcom warszawskiej Woli. W czasie tych mordów zginęło według różnych źródeł od około 40 do 60 tys.

Polaków. Dopiero pojawienie się w Warszawie von dem Bacha ograniczyło w pewnym stopniu masowe mordy. Już nie zabijano kobiet i dzieci, oszczędzano też schwytanych mężczyzn – cywile potrzebni byli do pracy.

Ochota i Starówka

Na Ochotę dowództwo niemieckie skierowało Brygadę SS RONA składającą się z rosyjskich renegatów, dowodzoną przez pułkownika Kamińskiego. Żołnierze ci zamiast skutecznie walczyć z powstańcami, ruszyli na plądrowanie miasta, rabunki, gwałcenie kobiet i mordowanie cywilów. Nawet Niemcy byli zaskoczeni, kiedy ich sprzymierzeńcy ze wschodu rzucali się na Niemki pracujące w łączności. Podczas rzezi Ochoty zginęło około 10 tys. Polaków. Na terenie obozu przejściowego zorganizowanego na Zieleniaku, zamordowano co najmniej tysiąc cywilów.

Wielu uciekinierów z płonącej Woli i Ochoty kierowało się w stronę Wisły docierając do bardziej twardego powstańczego frontu na Starówce i w Śródmieściu. Szczególnie kurczący się obszar Starówki, atakowanej ze wszystkich stron, stał się w drugiej połowie sierpnia areną ciężkich walk. Niemcy bombardowali Stare Miasto i ostrzeliwali jego



Fot. Bundesarchiv/domena publiczna

Arthur Greiser i władze Kraju Warty wobec Powstania Warszawskiego

Paweł GŁUSZEK, IPN Poznań

1 sierpnia 1944 r. o godz. 17.00 wybuchło Powstanie Warszawskie. Reakcja Niemców była natychmiastowa: Hitler powierzył misję stłumienia powstania Himmlerowi.

Już następnego dnia Reichsführer SS Heinrich Himmler przyjechał z Prus Wschodnich do Poznania. Spotkał się z Namiestnikiem Rzeszy w Kraju Warty Arthurem Greiserem i dowódcami wojskowymi. Podjęto decyzję, że do Warszawy celem likwidacji powstania udadzą się wojskowe i policyjne oddziały z Kraju Warty.

Himmler spotkał się również z Wyższym Dowódcą SS i Policji w Kraju Warty SS-Gruppenführerem Heinzem Reinefarthem. Wydał mu rozkaz sformowania specjalnej grupy bojowej i stłumienia powstania w Warszawie.

W momencie wybuchu powstania, Hitler razem z Himmlerem podjęli decyzję, że wszystkich Polaków w Warszawie należy zabić, a Warszawę zrównać z ziemią. Miał to być odstraszający przykład dla innych wrogów Rzeszy. Himmler twierdził, że wybuch powstania był dla Niemców „błogosławieństwem”. Był to bowiem doskonały pretekst do rozprawienia się z Polakami i załatwienia „problemu polskiego”. Według Himmlera, zniszczenie narodu polskiego i jego stolicy było niezbędne, ponieważ Polacy od zawsze powstrzymywali Niemców w ich pochodzie na Wschód. Według Reichsführera potrzeba było 5–6 tygodni, aby unicestwić Warszawę.

3 sierpnia Heinz Reinefarth zaczął tworzyć osobisty sztab i grupę bojową z żołnierzy i funkcjonariuszy policji z Kraju Warty.

Grupa Bojowa „Reinefarth” była mocno improwizowana. Nie było czasu na skompletowanie oddziałów. W pośpiechu wcielano do grupy wszystkich, którzy byli do dyspozycji. Sztab nie był obsadzony fachowcami. Byli to prawie wy-

▶ Arthur Greiser w mundurze SS-Brigadeführera

łącznie oficerowie policji.

Pierwszym oficerem operacyjnym w sztabie Reinefartha był major policji ochronnej Kurt Fischer. Osobistym adiutantem dowódcy został SS-Hauptsturmführer Helmut Stühmer, na co dzień nauczyciel gimnastyki w szkole policyjnej w Poznaniu. Sam Reinefarth nie miał natomiast przygotowania dowódczo-sztabowego i doświadczenia w zwalczaniu partyzantki.

Grupa bojowa składała się z wielu jednostek. Trzon stanowiły dwa bataliony policji z Kraju Warty. Były to bataliony „Reck” oraz „Peterburs” (potem zmienił nazwę na „Sarnow”). Ich nazwy pochodziły od nazwisk dowódców.

Do grupy Reinefartha dołączono również 72 Pułk Grenadierów Waffen SS „RONA” (Rosyjska Wyżwolenicza Armia Ludowa) pod dowództwem SS-Brigadeführera Bronisława Kamińskiego oraz Brygadę SS „Dirlewanger” pod dowództwem SS-Standartenführera Oskara Dirlewangera, doktora nauk ekonomicznych, alkoholika i sadysty. Był to oddział złożony ze skazańców z Wehrmachtu i z SS oraz kryminalistów.

Ze wszystkich oddziałów wchodzących w skład grupy, doświadczenie w walkach z partyzantami i w mordowaniu ludności cywilnej mieli ludzie Dirlewangera.

Dowódca specjalnej grupy bojowej Heinz Reinefarth urodził się 26 grudnia 1903 r. w Gnieźnie. Ukończył studia prawnicze na uniwersytecie w Jenie. Od



Fot. wikipedia, domena publiczna

1933 r. pracował jako adwokat. W lipcu 1932 r. został członkiem NSDAP, a w grudniu wstąpił do SS. W 1937 r. został SS-Hauptsturmführerem. 26 sierpnia 1939 r. został powołany do 14 kompanii strzelców 337 pułku piechoty. We wrześniu 1939 r. walczył w Polsce. Został odznaczony Żelaznym Krzyżem II klasy i awansowany na podoficera.

W 1940 r. Reinefarth wziął udział w wojnie z Francją. Za tę kampanię otrzymał Żelazny Krzyż I klasy. Rok później, jako dowódca kompanii znalazł się na froncie wschodnim. Na przełomie 1941 i 1942 r. został zwolniony ze służby w Wehrmachcie z powodu ran odniesionych w Rosji. W kwietniu 1942 r. Kurt Daluge, szef Policji Porządkowej, mianował go generałem majorem policji, a następnie

awansował na SS-Brigadeführera. W 1942 r. Reinefarth wyjechał do Pragi, do Protektoratu Rzeszy Czech i Moraw. Pełnił tam funkcję generalnego inspektora w administracji. W październiku 1943 r. wrócił do Głównego Urzędu Policji Porządkowej. Został kierownikiem Urzędu Prawnego.

W grudniu 1943 r. Himmler oddelegował Reinefartha na „praktyki zawodowe” do Wyższego Dowódcy SS i Policji w Generalnym Gubernatorstwie Wilhelma Koppego. Reinefarth przeszedł szkolenie w Krakowie, a następnie w Wiedniu i Norymberdze.

25 stycznia 1944 r., po zakończeniu „praktyk zawodowych”, Himmler mianował Reinefartha Wyższym Dowódcą SS i Policji w Warthegau i awansował na

generała porucznika policji oraz SS-Gruppenführera.

W Poznaniu Reinefarthowi podlegało SD, Gestapo oraz obozy i więzienia SS m.in. Fort VII. Szef SS i policji miał też duży udział w wysiedlaniu Polaków z Kraju Warty i osiedlaniu w ich miejsce Niemców. Swoimi działaniami walczył przyczynił się do zniemczenia Kraju Warty.

Reinefarth nie miał wielkiego doświadczenia wojskowego i sztabowego. Cieszył się natomiast dobrą opinią jako żołnierz frontowy. Był ceniony za osobistą odwagę na polu walki. Jednak w połowie 1944 r. oprócz znajomości sztuki wojennej i biegłości w wojskowym fachu, liczyła się też stabilność ideologiczna i światopogląd. W oczach swojego przełożonego Reichsführera SS, Reinefarth był pewny politycznie oraz miał odpowiednią postawę ideologiczną i światopogląd. Dowiódł swojej przydatności i nie zwiódł pokładanych w nim nadziei już wtedy, gdy został szefem SS i policji w Warthegau. Reinefarth był również „człowiekiem Himmlera”. Swoją karierę zawodową zawdzięczał m.in. Reichsführerowi SS, który w 1943 r. wybrał go na Wyższego Dowódcę SS i Policji w Kraju Warty.

Wieczorem 4 sierpnia, grupa Reinefartha przybyła pod Warszawę. Następnego dnia oddziały wkroczyły do miasta od zachodu i południowego zachodu. Tego dnia w godzinach porannych, Reinefarth zebrał swoich dowódców na odprawę. Prawdopodobnie wówczas wydał im rozkaz mordowania ludności cywilnej zgodnie z dyrektywami jakie otrzymał od Himmlera.

◀ SS-Gruppenführer Heinz Reinefarth („Kat Woli”, pierwszy od lewej) w czapce „kubance” oraz żołnierze 3 Pułku Kozaków płk. Jakuba Bondarenki – okolice ul. Wolskiej w Warszawie



Fot. wikipedia, domena publiczna

► Dowódca pułku major Iwan Frołow (po środku) z oficerami Rosyjskiej Narodowej Armii Wyzwolenczej (RONA) podczas Powstania Warszawskiego. Oficer po prawej od Iwana Frołowa to porucznik Michalczewski. Żołnierz pierwszy z prawej przypuszczalnie należy do Rosyjskiej Armii Wyzwolenczej ROA (POA po rosyjsku) sądząc po naszywce na ramieniu.

Wiele wskazuje na to, że ustny rozkaz, który Reinefarth otrzymał od Himmlera był trzyczęściowy: 1. Powstańcy wzięci do niewoli mają być rozstrzelani, 2. Ludność cywilna powinna być zlikwidowana, 3. Miasto należy całkowicie zniszczyć.

Reinefarth rozkaz Himmlera wypełnił dosłownie. Planowo i systematycznie mordowano mieszkańców Warszawy. Uzasadniano to koniecznością szybkiej pomocy „dzielnicy rządowej” w centrum miasta, gdzie bronili się Niemcy i rzekomymi mordami dokonywanymi przez Polaków na jeńcach niemieckich.

Grupa Reinefartha weszła na Wolę i Ochotę i rozpoczęła mordowanie ludności cywilnej. Oddziały niemieckie posuwały się z zachodu na wschód. Celem była odsiecz dla Komendantury Wehrmachtu, a następnie dotarcie do Wisły.

Wiele wskazuje na to, że masowych mordów ludności cywilnej na Woli dokonali m.in. członkowie Batalionu Policyjnego „Peterburs” z Kraju Warty. Oddział wszedł do walki rankiem 5 sierpnia razem z brygadą Dirlewangera. „Dirlewangerowcy” szli jako pierwsi i toczyli zacięte walki z powstańcami. W toku tych walk, dokonywali chaotycznych morderstw, gwałtów i rabunków. Idący za tą jednostką batalion policyjny z Kraju Warty, w skład którego wchodziły siły policyjne mające doświadczenie w walkach z partyzantami oraz volksdeutsche z Warthegau, mordował systematycznie i planowo.

Wieczorem 5 sierpnia do Warszawy przybył SS-Obergruppenführer Erich von dem Bach-Zelewski i przejął od Reinefartha dowodzenie operacją. Ograniczył masowe egzekucje łamiąc tym samym rozkaz Himmlera. Od tej pory rozstrzeliwać miano tylko mężczyzn. Kobiety, dzieci i starcy byli kierowani do obozu zbiorczego w Pruszkowie pod Warszawą.

Egzekucji w Warszawie dokonywało również Komando Operacyjne Policji Bezpieczeństwa przy Grupie Bojowej „Reinefarth” pod dowództwem SS-Hauptsturmführera Alfreda Spilkera oraz Sonderkommando 7a z Grupy Operacyjnej B pod dowództwem SS-Sturmbannführera Gerharda Basta.

Po zdławieniu powstania, dowódca grupy bojowej Reinefarth wyjechał z Warszawy po południu 7 października i wrócił do Poznania.

Hitler nagroził tych, którzy stłumili Powstanie Warszawskie. SS-Obergruppenführer Erich von dem Bach-Zelewski i SS-Standartenführer Oskar Dirlewanger otrzymali Krzyże Rycerskie do Krzyża Żelaznych, a SS-Gruppenführer Heinz Reinefarth Liście Dębu do Krzyża Rycerskiego Krzyża Żelaznego.

Już po wojnie, w 1951 r. Heinz Reinefarth został burmistrzem Westerland na wyspie Sylt (RFN), a potem posłem do Landtagu Szlezwika-Holsztynu. W 1957 r. ujawniono jego wojenną przeszłość. Opinia publiczna w Republice Federalnej Niemiec dowiedziała się o zbrodniach Reinefartha podczas Powstania Warszawskiego. Jego kariera polityczna legła w gruzach, ale on sam nigdy nie został pociągnięty do odpowiedzialności za zbrodnie z 1944 r. „Kat Warszawy” zmarł 7 maja 1979 r.



Fot. wikipedia, domena publiczna

Wybuch Powstania Warszawskiego, podobnie jak dla Himmlera, był „błogosławieństwem” dla Arthura Greisera. Himmler wybrał Greisera i Kraj Warty, aby stłumić powstanie, z dwóch powodów. W Warszawie i okolicach stacjonowało wówczas niewiele oddziałów SS i policji, które mogły szybko rozprawić się z powstańcami, a w Kraju Warty były one pod ręką. Przede wszystkim jednak, Himmler zwrócił się z zadaniem stłumienia powstania do zaufanego człowieka oraz zatwardziałego nazisty. Mógł liczyć na Arthura Greisera. Niemcy z Kraju Warty na czele z Reinefarthem wykonali powierzone im zadanie w Warszawie, a Greiser nie zawiódł szefa SS.

Gauleiter Warthegau uważał, że wybuch powstania w Warszawie był wynikiem nieudolności władz Generalnego Gubernatorstwa i złą polityką wewnętrzną prowadzoną przez Hansa Franka. Przeciwniał temu swój „wzorcowy okręg”, czyli Kraj Warty, gdzie stłumił w zarodku wszelki polski opór i próby konspiracji. Rządził tutaj w nadzwyczaj okrutny i bezlitosny sposób. Na tle Generalnego Gubernatorstwa i Hansa Franka, Arthur Greiser i Kraj Warty jawili się jako prawdziwa nazistowska ostoja. To trafiało do przekonania Himmlera.

Greiser nie lubił się też Frankiem, co nie było tajemnicą. Obaj panowie ze sobą rywalizowali. 15 sierpnia na spotkaniu w Łodzi, Greiser publicznie skrytykował Franka, co wydrukowała jedna z niemieckich gazet. Frank w liście do Greisera żądał sprostowania i odwołania wypowiedzi. Nie doczekał się jednak reakcji.

To, co działo się w sierpniu 1944 r. było też kolejną odsłoną rozgrywek politycznych toczących się na szczytach władzy w III Rzeszy. Najwyżsi funkcjonariusze państwa rywalizowali o wpływy i pozycję w nazistowskiej hierarchii. Himmler wybrał Greisera do stłumienia powstania w Warszawie i umożliwił mu uzyskanie korzyści politycznych. Gauleiter Warthegau wykorzystał tę szansę i uczynił to kosztem Franka.

Greiser twierdził, że to policja z Kraju Warty doprowadziła do stłumienia Powstania Warszawskiego. Posunął się nawet do stwierdzenia, że powstanie zostało zlikwidowane nie przez oddziały Wehrmachtu, ale

że dokonał tego „człowiek z Okręgu Warty SS-Gruppenführer i generał policji Reinefarth i ludzie, którzy przybyli wyłącznie z Okręgu Warty”. Twierdził też, że taki sam los jak Warszawę, spotka każdego kto „odważy się wystąpić przeciwko kierownictwu reprezentowanemu przez ludzi Okręgu Warty”.

Arthur Greiser czuł się zatem protektorem zwalczania i likwidacji Powstania Warszawskiego. Za tą postawą stało przekonanie o decydującej roli jaką odegrały w likwidacji powstania oddziały policyjne z Kraju Warty. Powstanie było dla Greisera okazją, aby wykazać się odpowiednio twardą postawą prawdziwego nazisty i wzmocnić swój mit o fanatycznym oddaniu ideologii nazistowskiej. Na tle słabego Franka, szefa Generalnego Gubernatorstwa i innych chwiejnych funkcjonariuszy III Rzeszy, Greiser stał się w tym momencie najzdolniejszym i najwierniejszym „żołnierzem” Himmlera oraz Hitlera.

Namiestnik Rzeszy w Kraju Warty swoją reakcją na wybuch powstania i zaangażowaniem w jego likwidację, zyskiwał politycznie i wizerunkowo.

Powstanie Warszawskie zostało również wykorzystane przez Greisera, aby wzmocnić obraz Kraju Warty jako „okręgu wzorcowego” dla całej Rzeszy. Okręg, jego przywódca oraz szef SS i policji, obronili Rzeszę tłumiąc powstanie w Warszawie. Stali się niejako przedmurzem nazizmu na wschodzie. Był to wielki sukces propagandowy.

Jednak udział oddziałów policyjnych i wojskowych z Warthegau w stłumieniu Powstania Warszawskiego przyniósł Greiserowi i władzom Okręgu Kraju Warty nie tylko korzyści polityczne i propagandowe, ale i te bardziej wymierne, czyli dobra materialne.

20 sierpnia Greiser zjawił się na peryferiach Warszawy. Spotkał się z Reinefarthem i von dem Bach-Zelewskim. Natychmiast po tym spotkaniu rozpoczęła się „Akcja Warszawa” („Aktion Warschau”) polegająca na rabowaniu z systematycznie niszczonej Warszawy wszelkich dóbr materialnych i wywożeniu ich do Kraju Warty. O te „wojenne trofea” Namiestnik Rzeszy w Kraju Warty musiał jednak wyklócać się z urzędnikami z Generalnego Gubernatorstwa. Z Ludwigiem Fischerem, guber-

natem dystryktu warszawskiego, toczył spory o wartościowe meble zabierane z niszczonego miasta.

Greiser uważał bowiem, że za stłumienie powstania siłami policyjnymi z Kraju Warty, należy mu się zapłata. Takie postawienie sprawy wywołało protest Hansa Franka. Greiser argumentował jednak swoje postępowanie tłumacząc, że były to jedynie zdobycze, które zostały zabezpieczone podczas walk w płonących i walących się domach przez jednostki z Kraju Warty. W oficjalnych dokumentach dotyczących „Aktion Warschau” urzędnicy z Kraju Warty dla zagrabionych dóbr używali określenia „dobra odzyskane”, czyli uratowane przed zniszczeniem.

21 sierpnia powstał szkic okólnika, w którym Greiser pisał, że wszystkie dobra materialne z Warszawy mają pozostać „do ciągłej i osobistej dyspozycji gauleitera”. Odmówił też zapłacenia cła za towary napływające z Warszawy. Wszelkie dane o transportach miało przekazywać Greiserowi, który osobiście kierował dystrybucją zagrabionego mienia. Ilość dóbr wywiezionych ze stolicy Polski była ogromna i urzędnicy w Kraju Warty mieli trudności z zapanowaniem nad taką masą towarów.

Z Warszawy do Kraju Warty przyjechało około 478 wagonów towarowych wypełnionych zrabowanym dobytkiem. Było to m.in. 15 ton lekarstw, 25 ton mydła, 325 ton papieru, 265 ton odzieży i ponad 24 tony wyrobów skórzanых. Wśród tych towarów znalazło się np. 50 sukni balowych, 12 futer męskich, 19 halek damskich i 11 bonzurek męskich.

W grudniu 1944 r. jako prezent świąteczny Greiser przysłał swojej znajomej „kilka darów z zasobów wywalczonych przez naszych kolegów w Warszawie”. Reinefarth wysłał Himmlerowi w prezencie dwie paczuski herbaty i nie ukrywał, że pochodziły one z rabunku. Pisał: „Reichsführerze! Z naszych warszawskich łupów pozwalam sobie przesłać Panu dwie paczuski herbaty z najlepszymi pozdrowieniami (...) Pański głęboko oddany Reinefarth”.

Epilogiem „warszawskiej historii” w Kraju Warty był dzień 5 listopada 1944 r. Tego dnia w Poznaniu miały miejsce uroczystości z okazji piątej rocznicy powstania Okręgu Kraju Warty. Pod Zamkiem Cesarskim w Poznaniu, odbyła się

defilada wojskowa, w której udział wzięli „warszawscy bojownicy”, czyli członkowie Grupy Bojowej „Reinefarth”. Obecni byli najważniejsi przedstawiciele wojska i administracji Kraju Warty oraz goście, m.in. Heinrich Himmler, Heinz Guderian i Kurt Daluge.

Podczas tych uroczystości, Himmler wręczył Reinefarthowi Liście Dębu do Krzyża Rycerskiego. W swoim przemówieniu Greiser stwierdził: „to zwycięstwo zasady porządku, przyzwoitości i czystości”, a prasa poinformowała o „wysokim odznaczeniu (...) za żołnierskiego ducha Kraju Warty dla Reinefartha”.

W „Ostdeutscher Beobachter” ukazał się również artykuł Heinza Reinefartha, w którym dowódca grupy bojowej opisał działania jednostek z Kraju Warty w trakcie Powstania Warszawskiego. Szef SS i policji w Warthegau przedstawił walkę z Polakami jako bitwę z okrutnym i podstępny wrogiem, który do powstania wysłał swoich najmłodszych i najlepszych żołnierzy. Straty Polaków w powstaniu Reinefarth ocenił na 250 tys. zabitych, a stolica kraju została zrównana z ziemią. Według dowódcy grupy bojowej, „ludzie z Kraju Warty” dali dowód, że „potrafią przed każdym wrogiem chronić swoją ojczyznę”.

To właśnie z Kraju Warty pochodziły główne siły, które stłumiły Powstanie Warszawskie. Wśród nich byli ludzie odpowiedzialni za masowe zbrodnie w Warszawie. Rzeź Woli została przeprowadzona m.in. rękoma tzw. zwykłych Niemców z Kraju Warty. Byli to volksdeutsche, policjanci i rezerwiści w średnim wieku, którzy do walki na froncie się nie nadawali, ale doskonale spełnili się w roli zbrodniarzy. Mieli odpowiedni światopogląd i nastawienie ideologiczne. To oznaczało brak skrupułów, okrucieństwo i bezwzględność.

Powierzenie przez Himmlera zadania stłumienia powstania Niemcom z Warthegau było z punktu widzenia decydentów III Rzeszy, doskonałym wyborem. Greiser i jego ludzie zareagowali na wybuch powstania w odpowiedni, „narodowosocjalistyczny” sposób i nie zawiedli oczekiwań Himmlera i Hitlera. Nie ulega wątpliwości, że to m.in. na władzach Kraju Warty spoczywa duża część odpowiedzialności za krwawe stłumienie Powstania Warszawskiego.

Powstaniec warszawski i szczecinianin

Wojenna odyseja Zbigniewa Piaseckiego

Przemysław BENKEN, IPN w Szczecinie



Fot. archiwum rodzinne Zbigniewa Piaseckiego

Kresowe dziedzictwo
Zbigniew Piasecki urodził się 27 maja 1927 r. w Warszawie. Młodość spędził na Kresach Wschodnich, w Ostrogu nad Horyniem położonym zaledwie kilka kilometrów od granicy polsko-sowieckiej. W miejscowości tej miał swój garnizon Batalion Korpusu Ochrony Pogranicza „Ostróg” i 19. Pułk Ułanów Wołyńskich, w którym służył jego ojciec – Wacław. Jako mały chłopiec Piasecki lubił przysłuchiwać się wojennym wspomnieniom, które opowiadano podczas spotkań ojca z kolegami z pułku. Odegrało to, wraz ze starannym wychowaniem odebranych w domu rodzinnym i szkole, najważniejszą rolę w ukształtowaniu jego patriotycznego światopoglądu. Nie bez znaczenia pozostawał również fakt, że Piasecki często obserwował ułanów ćwiczących jazdę konną i władanie białą bronią. Robiło to na nim ogromne wrażenie, a największym marzeniem młodzieńca było zostać oficerem Wojska Polskiego.

Wybuch wojny i sowiecka okupacja
Krótco przed inwazją wojsk III Rzeszy na Polskę, 19. Pułk Ułanów Wołyńskich został zmobilizowany i wysłany nad granicę polsko-niemiecką. Na początku wojny Zbigniewa Piaseckiego nie opuszczał optymizm. Był przekonany, że Wojsko Polskie szybko rozprawi się z Niemcami. Wszystko zmieniło się w połowie miesiąca,

gdy Wacław Piasecki powrócił do Ostroga na czele plutonu ułanów. Wkrótce potem, 17 września, do Ostroga wkroczyła Armia Czerwona. Wacław Piasecki, wraz ze swoimi żołnierzami, został wówczas wzięty do niewoli przez sowiecką jednostkę pancerną, po czym wywieziony na wschód. Zbigniew Piasecki bardzo przeżył te trudne chwile: „W ciągu dnia chodziłem przygnębiony. Podczas obiadu oparłem głowę o stół i z płaczem głośno powtarzałem: »Nie mamy tatusia. Nie ma już naszej Polski«. Mama czule tuliła mnie do siebie i wypowiadała słowa pocieszenia, że to się wszystko wkrótce zmieni, ojciec powróci. Obok siedziała babcia (mama ojca). Patrzyła na nas i w milczeniu ocierała łzy płynące po policzkach”. Zbigniew Piasecki nigdy już nie zobaczył ojca – umieszczono go w obozie w Kozielsku i zamordowano wiosną 1940 r. wraz z tysiącami innych oficerów Wojska Polskiego. Rodzina Wacława Piaseckiego o jego śmierci dowiedziała się w 1943 r. z prasy okupacyjnej wydawanej przez Niemców.

Piasecki i jego najbliżsi wkrótce musieli zmierzyć się z potężnymi trudnościami, jakie niesła dla nich sowiecka okupacja: „Po pierwszym tygodniu [...] kazano nam opuścić miejsce zamieszkania w blokach na terenie koszar. Wozy konne ze skromnym dobytkiem ruszyły kolumną od bramy wyjazdowej w kierunku miasta. Przy bramie

stała pokaźna liczba osób (około kilkadziesiąt), która demonstracyjnie wznosiła złośliwe okrzyki, m.in. »Waszej Polski już nie ma! Wyjeżdżajcie stąd!«. Po kilku dniach stopniowo zacząłem przyzwyczajać się do otaczającej mnie rzeczywistości. Nieujawniony bunt spowodował, że stałem się bardziej odporny na upokorzenia, jakich nie mało doświadczałem, i kłopoty dnia codziennego spowodowane przez władze sowieckie i nieprzyjaznych nam ludzi należących do mniejszości narodowych. Wraz z kolegami pragnąłem, wzorując się na bohaterach narodowych i literackich, dokonać czegoś ważnego”.

Ucieczka do Generalnej Guberni i konspiracyjne początki w Warszawie
Uzyskawszy informację o planowanych aresztowaniach i wywózkach na wschód rodzin polskich żołnierzy, matka Zbigniewa Piaseckiego zdecydowała się w grudniu 1939 r. na próbę przejścia na teren opanowany przez Niemców. Udaną ucieczkę do Generalnego Gubernatorstwa zorganizowali dwaj dawni podoficerowie z 19. Pułku Ułanów Wołyńskich. Po kilkudniowej wędrówce Piasecki dotarł z matką do Małkini, a stamtąd udali się pociągiem – przez Warszawę i Lublin – do Tomaszowa Lubelskiego, do rodziny. Przebywali tam do początku 1941 r., a następnie, z uwagi na bardzo ciężką sytuację finansową, przenieśli się wraz z sio-

strą do Mińska Mazowieckiego, gdzie również mieli krewnych.

Nie chcąc być dla swoich bliskich nadmiernym obciążeniem, Piasecki, który miał wówczas piętnaście lat, zamieszkał w Warszawie, w specjalnym internacie prowadzonym dla niepełnoletnich dzieci żołnierzy, którzy zginęli lub zaginęli podczas wojny. Placówka owa oferowała również kształcenie zawodowe.

W czerwcu 1941 r. Piasecki wstąpił do Szarych Szeregów, których komórka została zorganizowana w jego internacie. Obrał sobie wówczas pseudonim „Różycki”, nawiązując w ten sposób do powstańca styczniowego – gen. Karola Edmunda Różyckiego, który był przed wojną patronem 19. Pułku Ułanów Wołyńskich. Następnie jednak – z uwagi na zbieżność nazwisk ze znanym krakowskim działaczem społecznym, przemysłowcem i cukiernikiem, Adamem Piaseckim, który w 1910 r. uruchomił Krakowską Fabrykę Cukrów i Czekolady, przez co nazywany był potocznie „królem czekolady” – używał pseudonimu „Czekolada”.

Piasecki, będąc doświadczoneym przedwojennym harcerzem, został przydzielony jako dowódca do zastępu składającego się z chłopców należących do najmłodszej grupy wiekowej (od dwunastu do czternastu lat). W połowie 1943 r., po ukończeniu szesnastu lat, przeniesiono go do grupy średniej, do której należały osoby w wieku od piętnastu do siedemnastu lat. Wtedy też Piasecki rozpoczął swą aktywność w akcjach tzw. małego sabotażu na ulicach stolicy. „Czekolada” m.in. trudnił się w tym okresie również kolportażem prasy podziemnej, a także rozklejał plakaty na murach i malował znaki Polski Walczącej.

W Powstaniu

1 sierpnia 1944 r. Piasecki, po uprzednim pożegnaniu się z matką napotkaną w drodze do Warszawy, kilka kilometrów za Mińskiem Mazowieckim, udał się do stolicy, by po raz pierwszy wziąć bezpośredni udział w zbrojnej walce z Niemcami. Młodzieniec posiadał wówczas stopień kaprała.

Przybywszy do miasta, „Czekolada” nie zdołał dotrzeć do punktu koncentracji swego hufca na Mokotowie, więc przyłączył się do oddziału napotkanego na rogu ulic Koszykowej i Mokotowskiej – 1. kompanii „Ruczaj” dowodzonej przez por. Karola Gomułkę „Longa”. Gdy wybiła godzina „W”, Piasecki uczestniczył w udanym ataku na niemieckie koszary przy ul. Koszykowej 18, gdzie wzięto wielu jeńców i zdobyto znaczne ilości uzbrojenia. Swoje wrażenia po tym boju opisał później następująco: „Pierwsze stanowisko moje w oknie było z widokiem na ulicę Chopina. [...] Siedziałem tam. Warszawa się pali. Już było widać płomienie, dym, [...] nawet trochę gryzło w oczy. [...] po całej Warszawie strzelanina była. Odczucia to były takie, człowiek to czuł, że coś się dzieje. Słychać było odgłosy niemieckich komend”.

Po przegrupowaniu i reorganizacji powstańczych oddziałów Piaseckiego przydzielono do oddziału Kazimierza Leskiego „Bradla”, który próbował zająć Aleje Ujazdowskie na odcinku od pl. Trzech Krzyży do Belwederu, dążąc do opanowania

znajdującego się tam biura kontrwywiadu niemieckiego. Dalszy napływ ochotników sprawił, że pluton „Bradla” po kilku dniach znacznie się rozrósł i – jako 1. kompania – wszedł w skład batalionu „Miłosz”. Jak wspominał „Czekolada”: „Całe powstanie walczyłem w rejonie dzielnicy niemieckiej, którą mieliśmy za zadanie zdobyć. Były tam cywilne i wojskowe urzędy niemieckie, hotele, kasyna, sklepy, nawet kino niemieckie. Opanowaliśmy tę dzielnicę, za wyjątkiem budynku Sejmu i Izby Przemysłowej”. Piasecki odnosił się do fragmentu warszawskiej dzielnicy Śródmieście Południowe, gdzie m.in. działały najważniejsze placówki niemieckiego aparatu bezpieczeństwa. Znajdujące się w tym rejonie budynki zostały w większości zajęte przez Niemców z przeznaczeniem na biura i mieszkania dla funkcjonariuszy aparatu okupacyjnego. „Czekolada” brał m.in. udział w walkach w rejonie tzw. Kamienicy pod Gigantami (Aleje Ujazdowskie 36), pl. Trzech Krzyży, w budynkach przy ul. Bolesława Prusa oraz w okolicach gmachu Związku Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej (Young Men's Christian Association – YMCA) znajdującym się przy ul. Marii Konopnickiej 6, który powstańcy zdobyli 2 września. „Czekolada” był jednym z pierwszych żołnierzy swojej kompani, który wdarł się do silnie bronionego budynku.

Ciężkie boje z Niemcami w Warszawie wywarły na Piaseckim niezatarte wrażenie. Przykładowo, zabicie pierwszego żołnierza wroga podczas walk w rejonie barykady przy Alejach Ujazdowskich 36 zapamiętał on następująco: „Leciało wszystko w powietrze, jednak my, uprzedzając działania Niemców, wcześniej wycofaliśmy się z barykady. Zajęliśmy pozycję w budynku przy Alejach Ujazdowskich. Było tam stanowisko ogniowe ołożone workami z piaskiem, za którymi się ukryliśmy. Jakiś odważny Niemiec przeszedł na naszą stronę barykady. Przy każdej barykadzie zawsze było małe przejście na drugą stronę ulicy, z którego on wtedy skorzystał. My byliśmy naprzeciwko tego przejścia. Strzeliłem do niego równocześnie z kolegą. Obaj trafiiliśmy. Niemiec zginął. [...] Myślałem o tym zabitym Niemcu [...]. Pamiętam, że był blondynem, miał lekko falujące włosy. Miła twarz. Mógł mieć 24 lata. Myślałem wówczas, że jego matka będzie czekać, lecz nie doczeka się powrotu syna. Moja mama się doczekała”.

Innym przeżyciem, które zapadło w pamięci „Czekolady”, było odniesienie przez niego pierwszej i jedynej, na szczęście, niegroźnej rany: „Zajęliśmy pozycję na skarpie przy ul. Senackiej z widokiem na Sejm. Było to w ramach przygotowań do większej akcji, w której miały także wziąć udział inne oddziały. Niemcy nas zauważyli i zaczęli ostrzeliwać z moździerzy, próbując się wstrzelić. Dowódca plutonu wydał wówczas rozkaz: »Wycofujemy się ze skarpy do garaży!«. Biegłem jako ostatni. Dotarłszy do pobliskich garaży, znajdujących się poniżej skarpy, stanąłem przy wejściu, chowając się za murem. Zacząłem obserwować niemiecki ostrzał. W tym momencie niedaleko, może w odległości dziesięciu metrów, upadł pocisk moździerza-

wy. Było pełno kurzu. W powietrzu fruwały odłamki. Poczułem, jak jeden z nich uderzył mnie w pierś. Szczęśliwie w momencie eksplozji zmieniałem pozycję. Dzięki temu fragment pocisku nie wbił się głęboko, tylko powierzchownie przeorał pierś i wyszedł bokiem, jednak niemal oderwał lewą brodawkę sutkową, która wisiała na kawałku ciała i wyglądała, jak odklejona. [...] rana mocno krwawiła. Moi koledzy myśleli, że dostałem w serce.

Oddział „Czekolady” aż do końca powstania zdołał utrzymać się na wielu spośród zajmowanych przez siebie pozycji m.in. w budynku YMCA.

Zakończenie walk w Warszawie i dalsze próby walki z okupantem

Po zawieszeniu broni Piasecki znalazł się w grupie powstańców, która nie chciała iść do niewoli, lecz była zdecydowana na kontynuowanie walki. Gdy upadł plan zbrojnego przebicia się z Warszawy przez pierścień wrogich wojsk, ludzie ci wyszli z miasta w kolumnie ludności cywilnej udającej się do obozu przejściowego w Pruszkowie. Celem „Czekolady” było wówczas dotarcie do zgrupowania Armii Krajowej, walczącego w Górach Świętokrzyskich.

Po ryzykownej ucieczce z kolumny Piasecki dotarł wraz z jednym towarzyszem do chatki pod Gołąbkami, gdzie, jak się okazało, mieszkał dowódca lokalnej komórki AK. Dzięki temu powstańcy zostali poinstruowani, jakim szlakiem zmierzać do obranego przez siebie celu, po czym osobno wyruszyli w dalszą drogę. „Czekolada” zdecydował się wówczas zejść do leżącej w pobliżu trasy jego marszu miejscowości, gdzie spodziewał się zastać swego kolegę z okresu konspiracji w Warszawie. Spotkanie doszło do skutku, a w jego rezultacie młodzieńcy zdecydowali się na dalszą wspólną wędrówkę w kierunku Gór Świętokrzyskich. Niestety Piasecki, który wyruszył jako pierwszy, został aresztowany na leśnej drodze między Skarżyskiem a Końskimi. Następnego dnia „Czekolada” zdołał wykorzystać niedbałość konwojującego go w stronę lasu żołnierza, wskakując do przejeżdżającego pustego pociągu towarowego zmierzającego w kierunku Skarżyska-Kamiennej.

„Czekoladzie”, po wcześniejszym opuszczeniu pociągu, udało się dotrzeć na dworzec w Skarżysku-Kamiennej, gdzie oczekiwał już jego kolega. Następnie młodzieńcy wsiedli w pociąg do Kielc, którym dotarli do miejscowości Łączna, gdzie wzięła ich pod swą opiekę łączniczka AK. Wkrótce potem zostali bezpiecznie poprowadzeni w Góry Świętokrzyskie i dotarli do działających jednostek AK. Piasecki został umieszczony w domu

► Gdy wybiła godzina „W”, Piasecki wziął udział w udanym ataku na niemieckie koszary przy ul. Koszykowej 18, gdzie wzięto wielu jeńców i zdobyto znaczne ilości uzbrojenia. Na zdjęciu budynek przyszłych koszar, w którym mieściło się wówczas poselstwo Czechosłowacji. Zdjęcie wykonano około 1935 r.

sympatyzującego z konspiratorami chłopą, położonym w jednej z okolicznych wiosek. „Czekolada” stał się tym samym żołnierzem 4. Pułku Piechoty Legionów AK.

Niestety Piasecki nie cieszył się zbyt długo z chwili wytchnienia. Aresztowali go Niemcy, którzy urządzili obławę na młodych ludzi, by wywieźć ich następnie na roboty przymusowe do Niemiec. „Czekolada” został najpierw umieszczony w obozie przejściowym w Kielcach, a po kilku dniach wywieziony kolejną do obozu w Rosenburgu (obecnie Oleśnica) pod Wrocławiem, gdzie miał otrzymać przydział do pracy. Piasecki dobrze zapamiętał ów swoisty „targ niewolników”: „Gdy pojawiali się niemieccy cywile z okolic, stawiano nas w szeregu i oni wówczas wybierali sobie ludzi. Musieliśmy im pokazywać ręce i zęby. Najwięcej ludzi było poszukiwanych do prac w rolnictwie, ale moje ręce się do roli nie nadawały, tylko do fabryki. Czekaliśmy więc z kolegą na przybycie przedstawicieli jakiegoś zakładu przemysłowego”.

„Czekoladzie” towarzyszył wówczas inny członek AK – aresztowany podczas tej samej obławy w Górach Świętokrzyskich – Stefan Niburski „Stefan”. Po tygodniu młodzieńcy zdecydowali się na podjęcie próby ucieczki z obozu i powrotu w rejon Gór Świętokrzyskich. Dzięki pomocy osób zatrudnionych w obsłudze obozu, które były narodowości polskiej, Piaseckiemu i Niburskiemu udało się wydostać na wolność. Uciekinierzy, za radą jednego ze współwięźniów, ruszyli w kierunku Częstochowy, poruszając się wzdłuż linii kolejowej. W drodze do miasta wielokrotnie otrzymywali pomoc ze strony miejscowej ludności. Piasecki szczególnie zapamiętał czterdziestoletniego Polaka mieszkającego samotnie niedaleko Częstochowy, który udzielił mu bezcennych wskazówek umożliwiających bezpieczne przekroczenie granicy III Rzeszy i Generalnego Gubernatorstwa. Także w toku dalszej wędrówki młodzieńcy mogli liczyć na życzliwość przypadkowo napotkanych osób, by wspomnieć tylko kobietę handlującą dewocjonaliami na Jasnej Górze i księdza, dzięki któremu Piasecki, mimo braku dokumentów, bezpiecznie przejechał pociągiem kursującym z Częstochowy do Kielc.

„Czekolada” zdołał powrócić



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

w Góry Świętokrzyskie, lecz ponownie nie dane mu było zbyt długo zaznać spokoju. Niemcy często pojawiali się w wiosce i przeprowadzali rewizje. W takich momentach Piasecki schodził do specjalnie dlań przygotowanej kryjówki pod podłogą, nad którą ustawiano następnie beczkę z kapustą. Szczęście opuściło „Czekoladę” 22 grudnia, na dwa dni przed Wigilią. Został wówczas aresztowany przez żołnierzy niemieckich. Do 2 stycznia 1945 r. przetrzymywano go w komórcie na miejscowej plebanii. Następnie wszystkich zatrzymanych przewieziono do więzienia w Kielcach, gdzie śledztwo w ich sprawie prowadził funkcjonariusz Gestapo. Wkrótce potem Niemcy

wywieźli wszystkich jeńców pociągiem do Częstochowy i osadzili w tamtejszym więzieniu. 14 stycznia miasto zostało zbombardowane. Jedna z bomb spadła na budynek elektrowni położony przy więzieniu, powodując pożar zagrażający osadzonemu. Przerażeni więźniowie rozbili cele tylko po to, by przekonać się, że pilnujący ich strażnicy zbiegli.

Piasecki udał się pociągiem do Kielc, a stamtąd piechotą w Góry Świętokrzyskie. Wówczas dowiedział się o wydaniu przez gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka” rozkazu o rozwiązaniu AK. W takiej sytuacji „Czekolada” zdecydował się wyruszyć do Mińska Mazowieckiego. Pomimo pewnych perypetii, związanych m.in. z odebraniem mu w Dęblinie przez żołnierzy Armii Czerwonej pod groźbą użycia broni zdobytych w powstaniu niemieckich butów oficerskich (Piasecki otrzymał w zamian zużyte obuwie z amerykańskich dostaw), „Czekolada” dotarł do celu. Powitały go tam matka i siostra, które szczęśliwie przetrwały niemiecką okupację.

Szczeciński epilog

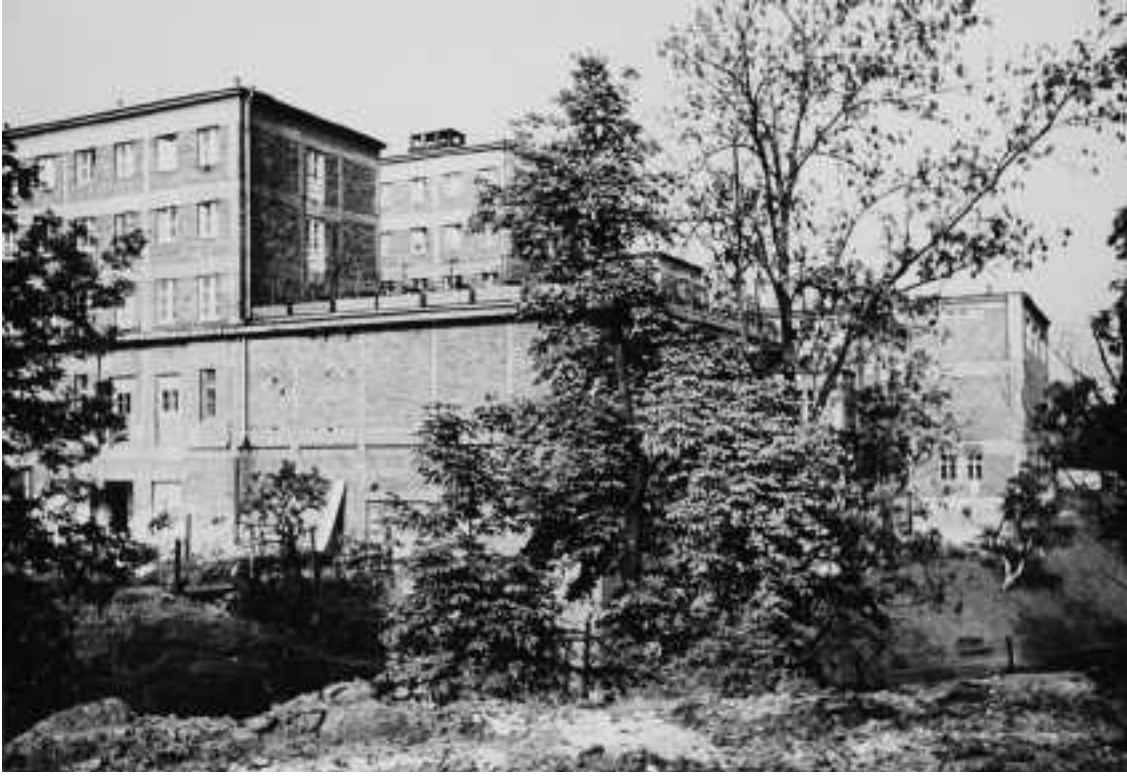
Piasecki przyjechał do Szczecina w 1951 r. z zamiarem poszukiwania możliwości nielegalnego wyjazdu na zachód. Obawiał się wówczas komunistycznych represji, które dotknęły m.in. jego dowódców z okresu konspiracji antyniemieckiej. „Czekolada” zdołał uniknąć

tego losu przede wszystkim dlatego, że wyjechał na Ziemię Zachodnie i aż do 1974 r. nie przyznawał się do członkostwa w AK. „Przyjeżdżałem w nieznane. Pamiętam, że nie miałem nawet zapewnionego noclegu” – wspomniał po latach „Czekolada”, który ostatecznie zdecydował się osiedlić w stolicy Pomorza Zachodniego.

Pierwszym miejscem pracy Piaseckiego była Szczecińska Stocznia Rzeczna, w której zatrudnił się jako kreślarz. Po tygodniu został jednak zwolniony. Powodem podjęcia przez dyrektora przedsiębiorstwa takiej decyzji był wyłącznie fakt podania w ankiecie osobowej informacji o tym, że od 1941 r. do zakończenia powstania Piasecki mieszkał w stolicy: „To już im wystarczyło – stwierdzał po latach. – Wystarczyło im, że mając siedemnaście – osiemnaście lat przebywałem w czasie wojny w Warszawie. Fakt ten czynił mnie człowiekiem podejrzanym, który nie mógł pracować”.

„Czekolada” przez pewien czas poszukiwał dla siebie nowego miejsca zatrudnienia w Szczecinie, by ostatecznie podjąć pracę w Biurze Projektów Budownictwa Morskiego. Był tam zatrudniony do momentu przejścia na emeryturę w 1987 r. w wieku sześćdziesięciu lat. „Szczecin stał się moją drugą ojczyzną. Wsiąknę w nią z korzeniami. Tutaj poznałem żonę i założyłem rodzinę” – mówił Piasecki, który praktycznie do śmierci brał aktywny udział w działaniach upamiętniających tragiczne losy Polski i Polaków w okresie II wojny światowej ze szczególnym uwzględnieniem Powstania Warszawskiego.

Podpułkownik Zbigniew Piasecki zmarł 8 stycznia 2024 r. Jest pochowany na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie.



Fot. Polona, Henryk Rodziński, domena publiczna

◄ Budynek YMCA położony w Warszawie u zbiegu Marii Konopnickiej i Bolesława Prusa, widok od ul. Frascati, który zdobył i utrzymał do końca powstania oddział „Czekolady”. Zdjęcie prawdopodobnie z 1932 roku.

Kapitan Wilhelm Hosenfeld wobec Powstania Warszawskiego

Trzeba zamknąć swoje oczy i serce

Wojciech Wichert, IPN Szczecin

Wilhelm „Wilm” Hosenfeld to oficer Wehrmachtu, który prawdopodobnie uratował życie co najmniej 30 polskich obywateli, w tym kilku Żydów, podczas niemieckiej okupacji Warszawy. Pomógł m.in. żydowskiemu kompozytorowi Władysławowi Szpilmanowi przetrwać w ukryciu w ruinach miasta po upadku Powstania Warszawskiego, co zostało ukazane w słynnym filmie *Pianista* Romana Polańskiego. W jego dziennikach i listach pisanych w tym czasie do żony dał wyraz swemu moralnemu oburzeniu na zbrodniczą pacyfikację przez Niemców tego heroicznego zrywu, nie skrywając też podziwu dla walczących Polaków.

Katolik i nazista?
Wilhelm Adalbert Hosenfeld urodził się w wiosce Mackenzell w Hesji, 2 maja 1895 r. Jego rodzina była katolicka, a on sam dorastał w pobożnym i konserwatywnym niemieckim środowisku patriotycznym. Po okupionym bitewnymi ranami odbyciu służby wojskowej podczas I wojny światowej został nauczycielem i pracował w szkole wiejskiej. Przed wybuchem II wojny światowej Hosenfeld był żonaty i miał pięcioro dzieci. Od 1933 r. był członkiem nazistowskich „odziałów szturmowych” (SA), a 1 sierpnia 1935 r. wstąpił do NSDAP, zafascynowany początkowo hasłami politycznymi Adolfa Hitlera i jego ruchu, obiecującego Niemcom przywrócenie ich dumy narodowej i zmazanie hańby „dyktatu wersalskiego”. W niedługim czasie partia pozbawiła go jednak prawa do wykonywania zawodu nauczyciela, ponieważ był „niepewny” ze względu na krytykę wyrażaną wobec antykościelnej polityki reżimu. Jesienią 1938 r., kiedy Hitler na mocy układu monachijskiego uzyskał przyłączenie tzw. Kraju Sudeckiego do Rzeszy, Hosenfeld pisał zatroskany w swoim dzienniku: „Teraz pojawiają się wątpliwości, jakie zagrożenie niesie ze sobą dyktatura. Co się stanie, kiedy Hitler będzie uparty i pograży naród niemiecki w wojnę?”.

Okupacja niemiecka w Polsce i Holocaust
We wrześniu 1939 r. po ataku Niemiec na Polskę Hosenfeld po raz drugi przystąpił do wojny światowej. Początkowo była to dla niego jedynie sprawiedliwa próba przywrócenia Niemcom wielkości i roli, jaką utracili po katastrofie militarnej 1918 r. Tym razem jako oficer rezerwy Wilhelm nie walczył na froncie. Przez krótki czas kie-

rował polskim obozem jenieckim w Pabianicach, wzorując swoje zachowanie na kodeksie postępowania z poprzedniej wojny. Hosenfeld nie postrzegał pojmanych Polaków jako „słowiańskich podludzi”, ale jako dawnych wrogów. Na przykład na prośbę ciężarnej kobiety uwolnił jej męża z obozu. Utrzymywał prywatny kontakt z tą rodziną przez całą wojnę. Stacjonował następnie w Węgrowie, a od lipca 1940 r. w Warszawie, gdzie pozostał już do stycznia 1945 r. Wilhelm spędził większość lat wojny jako oficer ds. sportu i kultury, awansując od stopnia sierżanta do kapitana rezerwy w 1942 r. Z biegiem czasu targany moralnymi rozterkami Hosenfeld był coraz bardziej przerażony niemieckimi zbrodniami, których był świadkiem. W swoich zapiskach ujawniał rosnące obrzydzenie wobec nieludzkiego ucisku Polaków przez reżim okupacyjny, prześladowań polskiego duchowieństwa i znęcania się nad Żydami. Jako żarliwy katolik w obliczu tego piekła na ziemi nie chciał pozostać obojętny. „W okupowanej Polsce Hosenfeld zauważał na każdym kroku ludzką krzywdę i starał się ją łagodzić, choćby drobnymi gestami. Koczującym na dworcu w Sokołowie dzieciom polskim wypędzonym z rodzicami z terenów przyłączonych do Rzeszy przynosił chleb, ser i kielbasę. Dzieciom żydowskim w Węgrowie rozdawał lądrynki. Przyjaźnił się z polskim rodzinami Prutów i Cieciorów. Joachima Pruta, byłego polskiego oficera, wyciągnął z rąk gestapo. Księdza Antoniego Cieciorę zagrożonego aresztowaniem zatrudnił na fałszywych papierach w prowadzonej przez siebie szkole sportowej Wehrmachtu. Z pracującymi tam polskimi robotnikami świętował Boże Narodzenie” – pisał o Hosenfeldzie publicysta Tomasz

► Kapitan Wilhelm „Wilm” Hosenfeld w mundurze oficera Wehrmahtu w 1939 r.

Stańczyk. Przykładów tego typu solidarności z ofiarami kampanii ludobójczego terroru i prymitywnego bandytyzmu rozpętanego przez jego pobratymców było wiele. „Czy powypuszczano z domów obłąkanych wszystkich szaleńców i tutaj przysłano?” – żalił się w dzienniku na postępowanie swoich rodaków w okupowanej Polsce.

Wraz z początkiem „ostatecznego rozwiązania” Hosenfelda ogarnęło obezwładniające niemal przeżenie zainicjowaną przez Niemcy nazistowskie masową eksterminacją narodu żydowskiego. W 1943 r., po tym jak był świadkiem stłumienia powstania w getcie warszawskim, napisał otwarcie o wykonawcach pacyfikacji jako o „zwierzętach”. „Straszliwymi masowymi mordami Żydów przegraliśmy tę wojnę. Sprowadziliśmy na siebie wieczną klątwę i na zawsze okryjemy się hańbą. Nie mamy prawa do współczucia ani litości; wszyscy mamy udział w winie. Wstydę się chodząc po mieście...”.

Powstanie Warszawskie
Po wybuchu Powstania Warszawskiego 1 sierpnia 1944 r. Hosenfeld przydzielony został do sztabu Komendatury Wehrmachtu mieszczącej się w Pałacu Saskim, okrążonym i odciętym wówczas przez walczących Polaków. Z uwagi na służbę w oddziale oficera Ic, czyli wywiadu i kontrwywiadu, odpowiedzialnego też za kontakty z policją i SS, a nawet przez pewien czas pełnić jego obowiązki, Wilhelm był bardzo dobrze poinformowany o tym, co się działo w stolicy w tym jakże



dramatycznym okresie. Zaznajomiony był oczywiście z rozkazem Hitlera o zrównaniu Warszawy z ziemią, który określił jako „bankructwo naszej polityki wschodniej, a burząc Warszawę, stawiamy tej polityce kamień nagrobny”. W całej okazałości widział akty destrukcji architektury i infrastruktury Warszawy, a także liczne ekscesy okrucieństwa i masowe zbrodnie popełniane na cywilnych mieszkańcach przez formacje SS i policji pod dowództwem Bronisława Kamińskiego i Oskara Dirlewangera. „Na płonących ulicach rozgrywają się sceny rozzdzierające serca. Ludność siedzi w piwnicach, a podczas akcji ewakuacyjnych wypędzana jest na ulicę, mężczyźni, kobiety i dzieci. Wczoraj zabijano tylko mężczyzn, dzień wcześniej również kobiety i dzieci” – zanotował z oburzeniem w swoim dzienniku. Co interesujące, Hosenfeld krytykował też postępowanie Armii Czerwonej wobec powstańców, pisząc chociażby: „Rosjanie podle wystawili ich do wiatru” lub „tak uwłaczająco pozostawili Polaków na lodzie”.

Po tym jak oblężenie Pałacu Saskiego i okolic ustało, Hosenfelda przeniesiono do pałacu Brühla, gdzie przydzielono mu zadania oficera wywiadu. Zajmował się m.in. przesłuchiwaniami powstańców wziętych do niewoli przez siły niemieckie. Wtenczas to zapisał w swoim memuarze znamienne słowa, swoistą dewizę określającą jego powołanie życiowe, którą kierował się w tych nieludzkich czasach: „Staram się ratować każdego”. Niezbyt mu odpowiada-

ły nowe obowiązki. Przyznawał wprost, że nie jest „człowiekiem do prowadzenia takich śledztw, przynajmniej nie z bezdusnością, która byłaby tu odpowiednia i jest zwykle stosowana. A jednak jestem wdzięczny, że muszę to czynić, ponieważ wciąż mogę robić niektóre rzeczy dobrze”. Uważał, że skoro został już do tego zobligowany chciał chociaż możliwie łagodnie traktować przesłuchiwanym przez niego Polaków. Zdawał sobie świetnie sprawę, że ci „ludzie kierują się patriotyzmem w najczystszej postaci, ale my nie możemy ich oszczędzać”. Wczoraj w nocy przeprowadzono mi na przesłuchanie młodego powstańca – 19 lat” – to wyimek z jednego z listów Hosenfelda do żony, z 13 sierpnia 1944 r. „Mówił bez ogródek. Myślę, że był trochę dumny ze swojego solidnego umundurowania. Miał na sobie mianowicie niemiecką odzież, którą zdobyli w niemieckim magazynie. Nosił niemieckie sznurowane buty, białą koszulę, panterkę, watawone spodnie i bluzę. Na niemieckiej czapce polowej dumnie nosił polskiego orła. Należy do tego odłamu polskiej młodzieży, która najwyraźniej łatwo zapaliła się do idei walki o wolność narodową i z niejakim entuzjazmem przyłączyła się do walki”. Tego samego dnia Wilhelm odnotował: „Rano ponownie rozpoczęły się przesłuchania więźniów. Byli ranni. Udało mi się ich opatrzyć. Oczywiście w obliczu ogromnego cierpienia nie ma znaczenia, czy pomożesz jednej osobie, czy drugiej, ale jak szczęśliwi są ludzie, którzy odczuwają choć odrobinę serca [...]”. Dwa tygodnie później w liście do żony i córki wspominał natomiast: „Znowu były trzy młode dziewczyny, studentki, które roznosiły ulotki i mapy i zostały złapane. Co mam teraz z nimi zrobić? Jeśli będzie się przestrzegać surowych standardów, zostaną rozstrzelane,



◄ Syn Wilma Hosenfelda, dr Detlev Hosenfeld w „Ogrodzie Sprawiedliwych” wskazuje miejsce, w którym zapisano imię jego ojca.

Fot. Domena publiczna

Fot. Instytut Yad Vashem

a ją chcę je wyciągnąć, jeśli mogę”. Wolno sądzić, że wielu spośród tych kilkudziesięciorga powstańców, którzy byli przesłuchiwanymi przez Hosenfelda, udało się uratować swoje życie.

Do powstańców i w ogóle mieszkańców Warszawy Wilhelm żywił szacunek graniczący niemal z podziwem dla ich bohaterstwa i poświęcenia. „Kiedy wybuchło powstanie, wiedziałem, że nasze położenie może się stać poważne” – stwierdzał w swoim dzienniku. „Znałem miejscowe stosunki, podczas gdy wielu moich tu przybyłych panów myliło się w ocenie zaciętości powstańców. Wydarzenia tego tygodnia niestety przyznały mi rację. Nawet wprowadzenie do walki czołgów oraz ciężkie bombardowania z powietrza nie wydają się robić na powstańcach większego wrażenia. Systematycznie podpala się całe ciągi ulic, ludność cywilna ucieka, gdzie się da, powstańcy obsadzają ruiny i strzelają dalej”. W liście do żony z 15 września 1944 r. przyznawał, że insurekcja „z pewnością jest uprawniona, mimo że chcemy temu zaprzeczyć, choć to jest jednostronne podejście; tak nacjonalistycznie, jak nasz, nastawiony naród, powinien mieć zrozumienie dla faktu, że inny naród też chce walczyć o swoją wolność”. Aczkolwiek, co należy zaznaczyć, obok napomknienia o „powstańcach” (die Aufständische) w jego zapiskach pojawiało się też czasem określenie „bandyci” (die Banditen) odnoszące się do polskich bojowników. Świadczyło to tylko o tym, że Hosenfeld nadal pozostawał wówczas pod pewnym wpływem nazistowskiej propagandy cynicznie szkalującej ten niepodległościowy zryw.

Z uwagi na rzetelne wykonywanie swojej pracy w roli „śledczego”, Hosenfeld szybko zyskał zaufanie wojskowego komendanta Warszawy gen. Reinera Stahela. Stąd też ten wyższy rangą wojskowy powierzał mu niekiedy obowiązki stricte polityczne. Jednym z takich rozkazów był chociażby aktywny udział Wilhelma w planie polegającym na skłonieniu powstańców do kapitulacji. W zamyśle Niemców pośrednikiem w tej sprawie miał być sufragan warszawski abp. Antoni Szlagowski, o którego wsparcie w tej materii w dużym stopniu zadbać miał Hosenfeld. Niemniej jego misja spaliła na panewce z uwagi na ostateczną odmowę duchownego do uczestniczenia w dwustronnych negocjacjach.

Pod koniec sierpnia 1944 r. sztab Komendatury Wehrmachtu, której

podlegał Hosenfeld, przeniesiono do Fortu Wola, a niedługo później do majątku Młotki niepodał wsi Macierzysz pod Warszawą. Stamtąd przyglądał się on procesowi powolnej agonii powstania. Obserwował „brutalność i zezwierzęcenie części oddziałów, jakie wprowadziliśmy do akcji, a także fakt, że prawie całe miasto jest już jedną stertą gruzów. [...] powstańcy bronią się dzielnie i choć większość [ludności cywilnej] nie popiera powstania, jest jednak terroryzowana [przez powstańców] i teraz już nie ma wyjścia”. „Jest to oczywiście skrót myślowy, stosunek ludności cywilnej do warszawskiej insurekcji zmieniał się w czasie i był funkcją kilku czynników, przede wszystkim stanu bezpieczeństwa i zaopatrzenia, a także relacji z oddziałami powstańczymi. Teza o »terroryzowaniu« wydaje się zbyt daleko idącym uogólnieniem. Takie fakty się zdarzały, ale nie należy ich uważać za zjawiska występujące powszechnie” – wyjaśniał ten fragment listu do żony Hosenfelda z 25 sierpnia 1944 r., historyk Eugeniusz C. Król.

Po oficjalnej kapitulacji powstania Wilhelm był świadkiem wymarszu polskich bojowników do niemieckiej niewoli. „W Warszawie już się skończyło – pisał w liście do żony z 5 października 1944 r. – Byłem dzisiaj w mieście. Po drodze miałem niekończące się kolumny wziętych do niewoli powstańców. Nie mogliśmy się nadziwić ich dumnej postawie, kiedy przechodzili. Byli porządnie ubrani, nienagannie ogoleni, prawie wymuskani. Sami młodzi ludzie, tylko oficerowie byli mniej więcej w moim wieku, ale też daleko nie wszyscy. I ta armia istniała przez pięć lat pod niemieckim panowaniem, a my prawie nie mieliśmy w ogóle o tym pojęcia. Dziesięcioletni chłopcy dumnie obnosili swoje furażerki; służyli jako łącznicy i to był dla nich zaszczyt, że razem z dorosłymi maszerowali do niewoli. Za każdą, mniej więcej sześćdziesięcioosobową grupą mężczyzn szły młode dziewczyny i kobiety. To był nieznany widok. Śpiewały patriotyczne piosenki i po żadnej nie było widać, przez jakie okropności przeszły”.

Należy podkreślić, że do końca trwania tych tragicznych wydarzeń zdanie Hosenfelda na temat insurekcji Armii Krajowej i innych polskich oddziałów konspiracyjnych było raczej ambiwalentne. Z jednej strony powstańcy rysowali się mu jako „wrogowie”, a niekiedy wręcz „bandyci”. Z drugiej zaś „naród godny współczucia, walczący o wolność, prześladowany niegodnymi metodami, zdradzony przez wiarygodnych sojuszników. Można więc powiedzieć, że po części dawała o sobie znać oficjalna propaganda

► Najsylniejszym z uratowanych kilkudziesięciu polskich obywateli jest Władysław Szpilman. Historia jego ocalenia przez kapitana Hosenfelda jest przedstawiona w słynnym filmie *Pianista* Romana Polańskiego

Trzeciej Rzeszy, po części jednak – i to po większej – empatia wobec prześladowanych, biorąca się z wyznawanych zasad wiary katolickiej i osobistych kontaktów z zaprzyjaźnionymi mieszkańcami Polski” – konkludował ten etap życiorysu Hosenfelda nadmieniony już Eugeniusz C. Król.

Koniec wojny i okres po 1945 r.

Po ustaniu walk Wilhelm pozostał jeszcze w Warszawie, którą Niemcy chcieli zamienić teraz na twierdzę. Przydzielono mu zadanie oprowadzania po opustoszałych ruinach stolicy grupy dziennikarzy z państw sojuszniczych III Rzeszy i neutralnych. Przy jednej z takich okazji Wilhelm 17 listopada 1944 r. spotkał Władysława Szpilmana blakającego się po zniszczonej Warszawie. Ku zaskoczeniu Szpilmana, oficer niemiecki nie aresztował go ani nie zabił. Po odkryciu, że wycieńczony Szpilman jest pianistą, Hosenfeld poprosił go o zagranie czegoś na fortepianie, który znajdował się na parterze. Szpilman zagrał Nokturn nr 20 cis-moll Fryderyka Chopina. Następnie Wilhelm ukrywał go i przez wiele tygodni utrzymywał przy życiu, dostarczając mu pożywienie.

Rok 1944 jest prawdopodobnie najbardziej dramatycznym okresem wojny, nie tylko dla Hosenfelda. To był też czas jego ostatniej wizyty u rodziny, której już więcej nie zobaczył. Jego ojczyzna rozpadała się w gruzy pod gradem bombardowań aliantów, których lądowania na zachodzie Wilhelm zresztą z niecierpliwością wyciekiwał. Jednocześnie Hosenfeld obawiał się końca wojny oraz jej konsekwencji dla splamionych krwią i zhańbionych Niemiec. Wiedziać doskonale o przerażających zbrodniach III Rzeszy, w tym o masowych mordach popełnionych przez jego rodaków na Polakach oraz eksterminacji europejskich Żydów. 17 stycznia 1945 r., gdy do Warszawy wkraczały oddziały armii sowieckiej Wilhelm podał się wrogom nieopodal Błonia, polskiego miasteczka położonego ok. 30 km na zachód od stolicy, wraz z żołnierzami z kompanii Wehrmachtu, którymi wówczas dowodził. Zgodnie z prawdą podał, że jako oficer ds. sportu i kultury organizacyjnie podlegał wydziałowi wywiadu wojskowego. Stwierdzenie



Fot. domena publiczna

nie to okazało się niebawem jego zgubą. Aby zmusić Hosenfelda do udzielenia informacji na temat jego rzekomo szeroko zakrojonej działalności wywiadowczej, poddano go surowemu przesłuchaniu w areszcie śledczym w Mińsku. Po sześciu miesiącach tortur i odosobnienia Doznał pierwszego udaru mózgu. W 1950 r. został skazany na 25 lat pracy przymusowej jako zbrodniarz wojenny, bez udowodnienia jakiegokolwiek przestępstwa. Kilukrotnie bezskutecznie starał się o ekstradycję do Polski. Pomimo wstawianictwa ludzi, których uratował podczas wojny, Hosenfeld nie został zwolniony. Sparaliżowany z jednej strony i zrozpaczony, zmarł 13 sierpnia 1952 r. w wieku 57 lat w obozie jenieckim w Stalingradzie, prawdopodobnie w wyniku krwotoku wewnętrznego spowodowanego brutalnym traktowaniem.

W październiku 2007 r. Hosenfeld został pośmiertnie odznaczony przez Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski

za ratowanie polskich obywateli w czasie wojny. 25 listopada 2008 r. Instytut Yad Vashem w Jerozolimie pośmiertnie nadał Wilhelmowi tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Jego nominacja nastąpiła na wniosek Władysława Szpilmana w 1998 r. i zakończyła się powodzeniem po latach starań syna słynnego pianisty, Andrzeja.

Bibliografia

Hosenfeld W., „Staram się ratować każdego”. Życie niemieckiego oficera w listach i dziennikach, tłum. J. Tycner i in., red. E.C. Król, Warszawa 2007

Kaźmierski D., Powstanie oczami Niemca „Kombatant” 2011, nr 6–7, s. 23–26

Król E.C., *Kapitan Wehrmachtu Wilhelm (Wilm) Hosenfeld i jego pola wolności* [w:] *Pola wolności*, red. A. Bartuś, Oświęcim – Poznań 2020, s. 179–216

Stańczyk T., *Wilm Hosenfeld, dobry człowiek w Wehrmachcie*, <https://historia.rp.pl/historia/art5982451-wilm-hosenfeld-dobry-czlowiek-w-wehrmachcie>



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Katoliccy księża i siostry zakonne w Powstaniu Warszawskim

dr Zbigniew STANUCH, OBBH IPN Szczecin

Znaczącą rolę w trwającym od 1 sierpnia do 2 października 1944 r. Powstaniu Warszawskim odegrali katoliccy duchowni oraz siostry zakonne. Na tyle, na ile było to możliwe niesli pomoc powstańcom, odpowiadając msze św., spowiadając, a także udzielając duchowego wsparcia. Zakonnice często występowały w roli sanitariuszek, służąc innym z narażeniem własnego życia.

Gdy sięgniemy do kronik różnych żeńskich zgromadzeń zakonnych, natrafimy na ciekawe pod względem historycznym informacje o udziale sióstr w powstańczych walkach. Zakonnice gotowały posiłki, opatrywały rannych, dodawały otuchy, modliły się. Cztery z tych zakonnice pochodziły ze Zgromadzenia Serca Jezusa Konającego z klasztoru na Powiślu. Prawdopodobnie były one pierwszymi ofiarami, które poległy w Powstaniu. Zginęły wybiegając do rannych. Były to: Teresa Bagińska, Amelia Ostoj-Chodakowska, Dolores Husmu Deymer (była pół-Turczynką) i postulantka Jadwiga Frankowska. „Otaczałyśmy poległe siostry wielkim szacunkiem, byliśmy pod wrażeniem ich heroizmu – powiedziała s. Małgorzata Krupecka USJK,

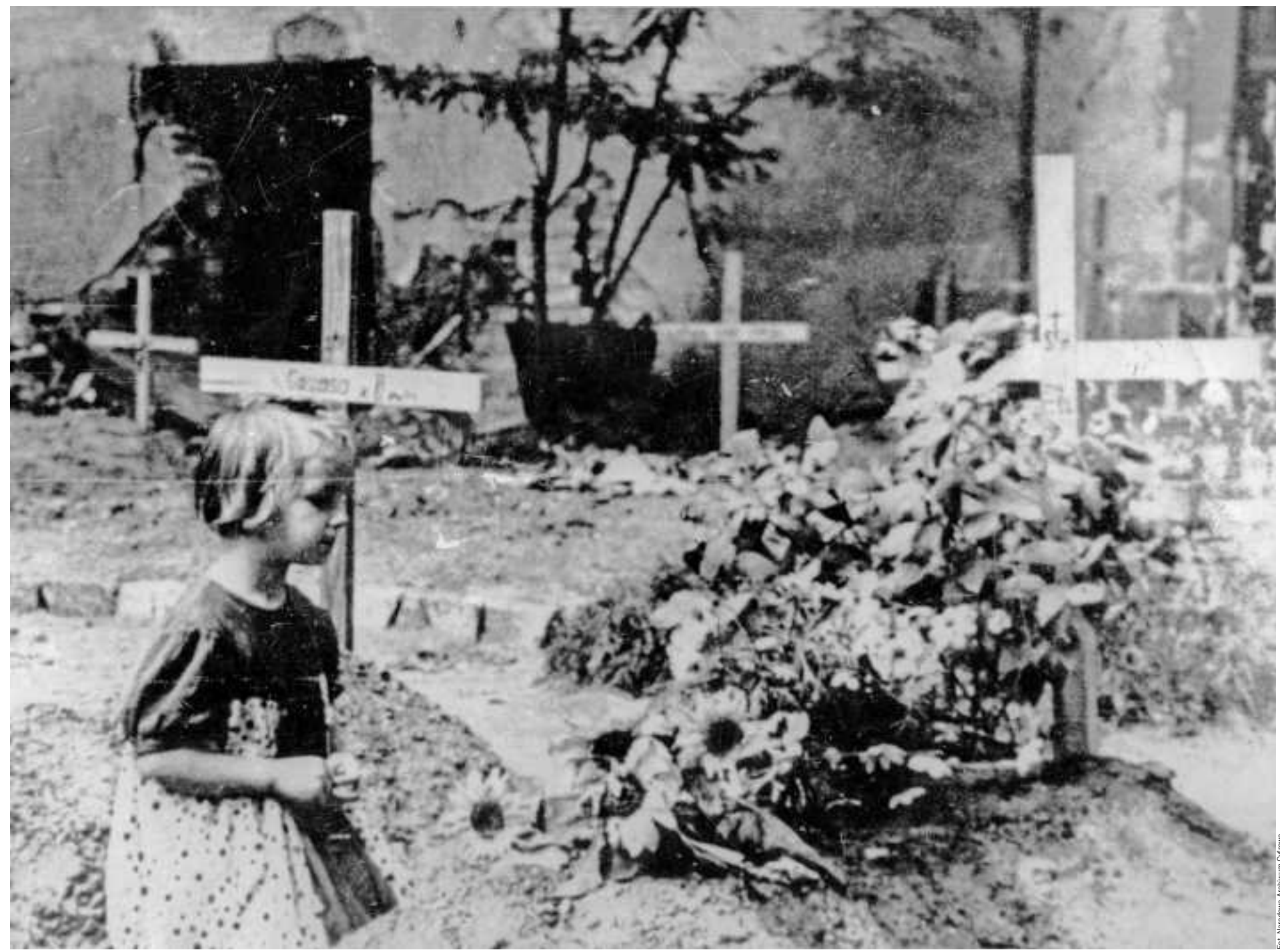
historyczka Zgromadzenia. Niemcy zastrzelili również ks. Tadeusza Burzyńskiego, który w klasztorze pełnił funkcję kapelana. Ubrany w komżę i stułę wybiegł do konającego mieszkańca. Był pierwszym kapłanem Powstania, który zginął po rozpoczęciu walk. Siostra Krupecka wspominała również o trzech siostrach, które mieszkały w klasztorze na Wiślanej. Były to: Andrzejka Górka, Jana Płaska i Janina Chmielińska, która w wieku siedemnastu lat była sanitariuszką i dopiero później wstąpiła do Zgromadzenia. „Uczestniczki tych dramatycznych wydarzeń długo nie dzieliły się swoimi wspomnieniami – opowiadała siostra – dopiero pod koniec życia opowiadały o swoich przeżyciach, ale na szczęście prze-

chowała się Kronika z dokładnym opisem sierpnia ’44 i pierwszych dni września”. Kolejne dni warszawskiego powstania upływały na nieustannej pomocy udzielanej potrzebującym. W klasztorze sióstr Serca Jezusa Konającego znalazło się miejsce na jadalnię, szpital polowy oraz schronienie dla tysiąca mieszkańców stolicy. Zakonnice opatrywały rannych, gotowały posiłki. Był to także punkt kontaktowy łączniczek. Codziennie odprawiano mszę świętą. Wszystko odbywało się pod ostrzałem niemieckim. „Pociski, naboje, było tego coraz więcej, ale duch panował dobry. Czytało się liczne prawdziwe polskie dzienniki, przeżywało powodzenie, milczało na niepowodzenia, czekało się na Bożę, ale i ludzkiej pomocy, choć o tej ostatniej można było już dawno wątpić...” – notowała s. Czekanowska. Przykład sióstr jest jednym z wielu, z jakim mieliśmy do czynienia w okresie powstańczych walk. Dużą rolę odegrali kapłani wykazując się ogromnym poświęceniem oraz bohaterstwem. Byli blisko toczonych walk, ani na chwilę

nie opuszczając powstańców. „Tak bardzo podnosiła ducha obecność kapłana na linii walk, jak i wśród zwykłych mieszkańców – wspomina powstaniec Andrzej Janicki – Wielu dzielnych księży z narażeniem życia nosiło posługę kapłańską. Nieraz trzeba było ich zaprowadzić na miejsca największej potrzeby, o których nie wiedzieli”. Z kolei Teresa Bojarska, pisarka i łączniczka w Powstaniu Warszawskim, opowiadała jak wyglądał w trakcie ulicznych walk sakrament spowiedzi. „Chwilę biegniemy obok siebie. Szepczę, nie krzyczę, by głos przeniknął huragan dźwięków, swoje wyznaję winy. Uniesiona dłoń, znak krzyża, Ego te absolwo, ta, ta, ta, ta... zamiast palca spowiednika pukającego w drzewo konfesjonau zaterkotała salwa. Rozbiegliśmy się”. Generał Tadeusz Bór-Komorowski, dowódca Armii Krajowej wspominał o mszach świętych organizowanych podczas powstania. Zazwyczaj sprawowane były przy polowych ołtarzach, a w tle było słychać odgłosy spadających bomb i strzelanin. „Spojrzałem na księdza stojącego u ołtarza.

Odprawiał nabożeństwo, jakby to było w najczystszej kościełku. Za jego przykładem obecni na mszy przestali zwracać uwagę na niebezpieczeństwo i modlili się spokojnie dalej, mimo coraz bliższych i coraz gwałtowniejszych wybuchów – wspominał generał. W tym okresie wojennej zawieruchy nie brakowało oczywiście wydarzeń niezwykle dramatycznych, przejmujących. Do takich zaliczyć trzeba morderstwa na redemptorystach z ulicy Karolkowej. Być może w całej historii II wojny światowej był to największy jednorazowy mord na zakonnikach. Trzydziestu braci zakonnych tworzących tę wspólnotę zostało zamordowanych za to, że udzielali ludności schronienia w klasztorze, odprowadzali ich na msze, spowiadali, dzielili się jedze-

▼ W czasie powstania mogiły zapelniały podwórka kamienic. Na zdjęciu widać dziewczynkę modlącą się nad mogiłą na zaimprovizowanym cmentarzu polowym.





niem. Najstarszy z nich miał 78 lat, najmłodszy 19. Przebieg tego dramatycznego wydarzenia był następujący. W niedzielę 5 sierpnia o. Tadeusz Müller odprawił w podziemiach kościoła nabożeństwo. Udzielił wszystkim rozgrzeszenia *in articulo mortis*, co oznacza „w niebezpieczeństwie śmierci”. Tragedia rozegrała się następnego

dnia między godziną 2 a 3 w nocy. Grupa Dirlewangera, znana ze szczególnego okrucieństwa, okrążyła klasztor. Padł rozkaz: „Macie 15 minut na opuszczenie klasztoru. Kto zostanie wewnątrz, zostanie natychmiast rozstrzelany”. Wyszli wszyscy zakonnicy oraz osoby świeckie przebywające w klasztorze. Wszystkich podzielono na dwie

grupy, osobno zakonników, osobno cywilów. Redemptorystów ustawiono w jednym szeregu. Ojców zabijał gestapowiec strzałem z pistoletu w tył głowy. O. Paweł Mazanka, redemptorysta, jest autorem publikacji *Redemptoryści Woli*, wydanej w 2018 r. Zawarł w niej historię swoich braci z ulicy Karolkowej, a także informacje na temat rzezi

Woli. Opis tego, co się wówczas wydarzyło jest następujący: „Naszego przełożonego, o. Kanię, zostawił na koniec [chodzi o wspomnianego gestapowca – ZS]. Chodził jeszcze z takim szatańskim uśmiechem, zaszedł ojca z przodu, wymierzył mu w twarz i strzelił (...) Tak nasi ojcowie zginęli w Święto Przemienienia Pańskiego. Zginęli też, co rzadko się podkreśla, w święto św. Alfonsa Liguori naszego założyciela” – tłumaczy o. prof. Paweł Mazanka. Ciała redemptorystów obłano benzyną i spalono. Kiedy Niemcy prowadzili następną grupę na egzekucję, przyjechał Niemiec z rozkazem Hitlera o nie rozstrzelaniu cywilów. W ten sposób grupa Polaków szukająca schronienia pod skrzydłami redemptorystów została ocalona.

Kapelani stanowili integralną część struktury organizacyjnej Armii Krajowej. W każdym okręgu AK był ksiądz odpowiedzialny za zapewnienie opieki duchowej żołnierzom. W 1944 r. prawie każdy oddział partyzancki miał swojego kapelana. Na czele tego wojskowego duszpasterstwa stał ks. płk. Tadeusz Jachimowski, ps. „Budwicz”. Po jego śmierci następcą został ks. płk. Jerzy Sienkiewicz, ps. „Gruzenda”. Odpowiedzialnym za organizację kapelanów podczas Powstania był ks. ppłk. Stefan Kowalczyk, ps. „Biblia”. Po kapitulacji wraz z żołnierzami poszedł do niewoli.

▼ Pomnik przy ul. Wolskiej 79 upamiętniający 30 redemptorystów zamordowanych w powstaniu warszawskim – mieszkańcy klasztoru oo. redemptorystów przy ul. Karolkowej 49 na stołecznej Woli, rozstrzelani przez Niemców w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego.

▼ Wierni przed zrujnowanym kościołem pw. św. Aleksandra na placu Trzech Krzyży w Warszawie.

Okoliczności śmierci naczelnego duszpasterza były dramatyczne. Ks. Jachimowski w chwili wybuchu Powstania znajdował się w mieszkaniu na ul. Elektoralnej. Na początku kontakt z dowództwem był bardzo sporadyczny. Czekając na rozkazy, które nie nadchodziły kapłan urządził prowizoryczną kaplicę we wspomnianym mieszkaniu, gdzie okoliczni mieszkańcy zbierali się na modlitwie. 7 sierpnia Niemcy zajęli całą Wolę. Ksiądz Jachimowski otrzymał polecenie opuszczenia mieszkania, zwlekał jednak udzielając sakramentu pojednania.

W chwili, gdy udzielał rozgrzeszenia, do zaimprovizowanej kaplicy wtargnęli niemieccy żołnierze. Jeden z nich wycelował w niego karabin. Sekretarka kapelana zaczęła błagać innego żołnierza, aby nie zabijał księdza, który wykonuje swoją posługę, a do tego ma ze sobą Najświętszy Sakrament. Ów żołnierz wstrzymał egzekucję sprawdził, czy sekretarka ma rację, a następnie kazał kapłanowi dołączyć do grupy i iść dalej przez miasto. W drodze ks. Jachimowskiemu udało się zostawić Najświętszy Sakrament w kościele św. Andrzeja na Chłodnej. Noc duchowny spędził w kościele św. Wojciecha. Rano, gdy Niemcy prowadzili ich do transportów z zamiarem wywiezienia do jednego z obozów koncentracyjnych, jeden z konwojentów zobaczywszy w grupie księdza wyciągnął go z szeregów i zabił strzałem z pistoletu.

W Powstaniu Warszawskim posługiwało około 150 duchownych. Przez 63 dni kapelani spowywali, organizowali wspólne modlitwy oraz msze, aż w końcu sami ginęli podczas spełniania posługi kapłańskiej. Nie przeżyło około 50 z nich. Najbardziej znanymi kapelanami byli: ks. Zygmunt Trószczyński, ps. „Alkazar”, o. Józef Warszawski SJ, ps. „Ojciec Paweł”, ks. mjr Władysław Zbłowski SAC, ps. „Strus” czy o. Tomasz Rostworowski SJ, ps. „Ojciec Tomasz”.



Przystanek Historia

zpraszamy
o godz. 17.30
wstęp wolny

12.09 Transformacja
po polsku.
Perspektywa 35 lat

26.09 „Hardcore
PRL”

10.10 Bitwa
pod Lenino

24.10 Bł. ks. Jerzy
Popiełuszko

14.11 Podgrodzie – kuźnia
homo sovieticus w PRL.
Dziecięce miasteczko
na wzór sowieckiego
obozu Artek.

Miejsce
Przystanek Historia IPN
pl. Brama Portowa 1
(Posejdon, I piętro)



INSTYTUT PAMIĘCI
NARODOWEJ

Oddział w Szczecinie



**PRZYSTANEK
HISTORIA**
SZCZECIN
CENTRUM EDUKACYJNE IPN

Więcej na stronie
szczecin.ipn.gov.pl



Księgarnia IPN

al. Wojska Polskiego 5, 70-470 Szczecin
tel. 538 632 917 • e-mail: ksiegarnia.szczecin@ipn.gov.pl

Zapraszamy w godzinach:
poniedziałek, wtorek, środa, piątek: 9.00–17.00
czwartek: 11.00–17.00

Księgarnia IPN oferuje szeroki wybór publikacji
i wydawnictw albumowych dotyczących historii Polski
i Polaków w XX wieku. Mamy również ofertę dla
najmłodszych czytelników w postaci komiksów i gier
planszowych. Szczegółowa oferta dostępna jest na
stronie: <https://ipn.gov.pl/pl/publikacje/ksiazki>.

Raz w miesiącu zapraszamy na spotkania autorskie. Jest
to również okazja do nabycia książek z rabatem 25%.
Zapowiedzi spotkań można znaleźć na:
<https://www.facebook.com/IPN.Szczecin>

Dla placówek edukacyjno-oświatowych udzielamy 20%
rabatu przy zakupie książek i gier planszowych.

Przyjdź • Usiądź • Poczytaj

